...zczono ryczałtem

ROK VII. LIPIEC-SIERPIEŃ 1933 NUMER VII-VIII.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM PRACY SPOŁECZNEJ I OPIEKI NAD DZIECKIEM

ORGAN ZWIĄZKU TOW. OPIEKI NAD SIEROTAMI ŻYD. RZECZYP. POLSKIEJ

WYDAJE: CENTR. KOMITET OPIEKI NAD ŻYD. SIEROTAMI WE LWOWIE
Redaguje Komitet ✧ Redaktor nacz. i odpow.: Dr. Józef Kohn
Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Brajerowska Boczna l. 4. Telefon Nr. 36-06.

TREŚĆ NUMERU:

LWÓW ✧ LIPIEC-SIERPIEŃ ✧ 1933

ROK VII. LIPIEC-SIERPIEŃ 1933 NUMER VII-VIII.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM PRACY SPOŁECZNEJ I OPIEKI NAD DZIECKIEM

ORGAN ZWIĄZKU TOW. OPIEKI NAD SIEROTAMI ŻYD. RZECZYP. POLSKIEJ

WYDAJE: CENTR. KOMITET OPIEKI NAD ŻYD. SIEROTAMI WE LWOWIE

Redaguje Komitet ❖ Redaktor nacz. i odpow.: Dr. Józef Kohn

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Brajerowska Boczna l. 4. Telefon Nr. 36-06.

Bł. p. Maurycy Endelman.

Dnia 5. lipca b. r. zmarł po krótkich cierpieniach bł. p. Mecenas Maurycy Endelman, wiceprezes egzekutywy Związku Tow. Opieki nad żyd. sierotami w Warszawie.

Bł. p. Maurycy Endelman urodził się w Kaliszu w r. 1872. Szkołę średnią ukończył w Płocku, a następnie studjował na wydziale prawniczym uniwersytetu warszawskiego, który ukończył w r. 1893. Na skutek ograniczeń, które obowiązywały w carskiej Rosji rozpoczął praktykę adwokacką w Warszawie dopiero w r. 1906.

Jako założyciel i pierwszy prezes loży „Bnei-Brith" w Warszawie bł. p. Maurycy Endelman dał się poznać jako cenny organizator pracy społecznej, którą następnie kontynuował przedewszystkiem w dziedzinie opieki nad dzieckiem. W latach 1928/29 był prezesem centrali opieki nad żyd. sierotami na województwa centralne. W r. 1928 bł. p. mec. Endelman został wybrany wiceprezesem Związku Tow. Opieki nad żyd. sierotami i sprawował ten urząd aż do swej przedwczesnej śmierci. Zmarły był też członkiem Dyrektorjum Keren Hajesod i jednym z dwóch prezesów reprezentacji Jewish Agency w Polsce.

Na stanowisku prezesa okręgowej centrali warszawskiej a następnie wiceprezesa Związku bł. p. Maurycy Endelman zdobył sobie największe sympatje wszystkich działaczy i współpracowników. Z największą sumiennością poświęcił się pracy, którą też mimo jej ogromu i mimo różnorodności nieraz bardzo ciężkich problemów związanych z opieką nad dzieckiem i młodzieżą, poznał i opa-

nował w najdrobniejszych szczegółach. Przylgnąwszy całem sercem do wielkiej tej i ciężkiej pracy społecznej poświęcał dla niej bardzo wiele czasu i nie szczędził trudów ani nie zważał na osobiste przykrości, które wypadało nieraz znosić dla dobra i rozwoju akcji Związku.

W ostatnim czasie, gdy Mu choroba coraz rzadziej pozwalała na opuszczanie domu, wykorzystywał każdą lepszą chwilę, by osobiście przyglądnąć się tokowi pracy w Związku, a nawet, gdy już nie mógł opuścić łóżka, to przynajmniej telefonicznie informował się i udzielał wskazówek w ważniejszych sprawach.

Toteż przedwczesny zgon bł. p. Mec. Endelmana napełnił żałobą serca licznych Jego przyjaciół i współpracowników na niwie opieki nad dzieckiem na wielu placówkach. Szczególnie jednak ciężko odczuje tę bolesną stratę Związek central sierocych, który był główną placówką pracy bł. p. Mec. Endelmana.

Cześć Pamięci Szlachetnego Człowieka i Ofiarnego Obywatela!

MARCIN BUBER.

Dzieci.

Dzieciom żydowskim w Niemczech poświęcam.

Dzieci przeżywają głęboko to, co się wokoło nich dzieje — i milczą. Nocami jednak jęczą przez sen, budzą się i odrętwiałe patrzą w ciemność: Jakże dziwnym stał się świat...

Miało się przyjaciela i to była sprawa jasna jak słońce i nagle ten przyjaciel tak jakoś obco na nas patrzy; w kącikach ust jego czai się ironiczny uśmiech: czy sądzisz, że naprawdę byłeś czemś dla mnie?

Miało się nauczyciela, wśród wszystkich tego jednego; wiedziało się: jest ten człowiek, więc wszystko jest w porządku. A teraz, gdy przemawia do ciebie głos jego brzmi tak jakoś głucho; na podwórzu szkolnem niemasz już do niego wolnego przystępu jak dawniej.

Nawet ta przyjaźnie życzliwa okolica, gdzie się wędrowało i bawiło przybrała jakiś niesamowity wygląd.

Co się takiego stało? Wie się to i owo, ale przecież nie można zrozumieć, jak się te rzeczy ze sobą wiążą.

Aby dusza dziecka mogła trwać i rozwijać się, musi dziecko mieć poczucie istnienia czegoś stałego, niezmiennego, czegoś, co nigdy nie zawiedzie.

Dom rodzinny sam tu nie wystarczy; cały świat musi być takim.

A co się z tym światem stało? Ufność budzący uśmiech zmienił się w niepokojący grymas.

Serce dziecka napełnia się trwogą; ale o tej trwodze nie może ono nikomu mówić, nawet własnej matce. To nie da się opowiedzieć. Nie może też nikogo zapytać. Przecież nikt nie wie, dlaczego się to wszystko tak dzieje. W sercu dziecka rodzi się bunt, ale nie wybucha. Płomień buntu, zduszony, zapada się w głąb duszy. Rodzi się namiętność, której nie wolno buchnąć płomieniem; wyrasta ona i usycha. Wylewy duszy nie znajdują ujścia w świat, są zahamowane.

W ten sposób rodzi się zło.

Rodzice, wychowawcy, co należy czynić, by zapobiec tworzeniu się zła?

Nie znajduję rady, prócz jednej: w świecie dziecka uczynić widocznem to, co jest niewzruszalnem, to co nie może zawieść, bo nie ulega chwiejności bieżących wydarzeń, co nie zrodziło się w obecnej chwili, lecz istnieje od zamierzchłych czasów. Coś, co jest nasze, sercem i duszą nasze. Musimy starać się, by dziecko w swym świecie doświadczyło Żydowstwa jako wiecznej wartości, zaufanej i godnej zaufania.

Nie znaczy to: etnicznemu obrazowi jednego człowieka przeciwstawić takiż obraz człowieka innego. Nie znaczy to: powiedzieć, że my „także“ jesteśmy narodem, że mamy swój charakter, swoją wartość. Nie jesteśmy jednym z pośród wielu egzemplarzy jakiegoś narodowego gatunku. Jesteśmy jedynym egzemplarzem naszego gatunku. Jesteśmy Izraelem. Upadli, poniżeni, wydani na łup każdej samowoli — pozostaliśmy elementem, który się nigdzie nie da wcielić. Wszystkie brutalne siły ziemskie mają nad nami moc, ale kategorje pojęciowe są wobec nas bezsilne. Nie głoszę tego z uczuciem dumy, lecz z drżeniem i obawą. Taki jest los Izraela w historji: być wplatanym w losy innych narodów i odrywanym od wszelkiego związku z nimi, wciąganym we wspólnotę, a potem wyrzucanym poza jej nawias. Ale Izrael dostąpił łaski odnawiania w czasach niedoli swego praprzymierza.

Trzeba dzieciom dać Żydowstwo, nie jako surogat, lecz jako jedyne źródło, z którego płynie nasze życie, o którem jednak zapomnieliśmy. Oto niedola nasza pozwala nam znów odnaleźć naszą nazwę. Nie jako przedmiot przechwałki: „my też mamy coś takiego“. Nie jako chorągiewkę na wszystkich masztach świata, lecz jako znak przymierza, ze wszystkiemi jego prawami i obowiązkami.

Izrael oznacza: być wspólnotą w jedności, która uzasadnia nasz byt. Urzeczywistniać w życiu wspólnotę między istotą a istotą, człowiekiem a człowiekiem. A to znaczy dziś: bronić bezpośred-

niości wśród ludzkości, która pogrąża się w pośredniość. Zachować dla wewnętrznej sprawiedliwości między ludzkiemi zbiorowiskami tajemnice współżycia, bez którego każdy naród skazany jest na lodową śmierć.

Czy weszliśmy sami na drogę do stania się sprawiedliwą społecznością? Czy mamy prawo korzystać z łaski odnowienia naszego przymierza? Czy mamy prawo reprezentować ową jedność? Czy możemy dzieciom naszym pokazać to, co jest niewzruszalne? Czy jesteśmy jeszcze Izraelem?

Odpowiedzi na te pytania dać musimy my. Nie przez patetyczne deklaracje, które niczego nie dowodzą, lecz przez całą naszą postawę wobec codzienności ze wszystkiemi jej miażdżącemi anomaljami.

Jest bardzo ważnem, byśmy prawdziwie potrafili ocenić nasze zasadnicze wartości, nasz język i nasze dzieje. Musi to wniknąć nietylko w naszą świadomość, ale w krew. Lecz jeszcze ważniejszem jest, byśmy żyli jako Izrael: pielęgnowali naszą wspólnotę i strzegli naszej bezpośredniości.

Na zewnątrz przeciwstawiają się temu tysiączne przeszkody i utrudnienia. Mimoto jednak nic nas nie powinno wstrzymać od tego, by wobec niemieckiego człowieka stanąć śmiało, bez gniewu, ale w poczuciu niezłamanej osobistej całości tak, abyśmy się nawzajem mogli dojrzeć i zrozumieć, gdziekolwiek się spotkamy. Także dziś, właśnie dziś potrzebną nam jest ludzka otwartość, choć ją nam tak okrutnie utrudniają.

Mogłoby się wydawać, że wewnątrz Żydostwa pękły już wszelkie zapory i odgraniczenia. Jednak, nie mówiąc o tych wszystkich małych gminach, które w chwili niedoli rozrosły się i przemieniły we wielkie rodziny, natrafiam wszędzie raczej na organizacyjną ruchawkę i pustą formalistykę organizacyjną, aniżeli na osobiste oddziaływanie człowieka na człowieka, raczej na „dobroczynność" niż na braterski czyn, raczej na rutynę niż na prawdziwą inicjatywę, raczej na „załatwianie" sprawy, aniżeli na oddanie się jej sercem całem. O bezdusznych mieszkańcach Sodomy powiedział kiedyś rabbi z Berdyczowa: „Kto wie, może i oni mieli jakąś gminną puszkę, do której bogacze wrzucali swe jałmużny, aby zaoszczędzić sobie konieczności spojrzenia w oczy ubogiemu?". Te puszki noszą dziś nazwę funduszów. Niechaj więc nikt nie sądzi, że okupi się jakimś datkiem. Kto nie okaże bezpośredniości, zada kłam Izraelowi.

Czy można liczyć na przewrót, na zmianę tych stosunków? Pytam się was, którzy czytać będziecie moje słowa!

Uczcie swe dzieci i dajcie im treść żydowską, starajcie się życie ich po żydowsku ukształtować. Ale to nie wystarczy jeszcze. Mu-

simy zacząć od siebie samych. Izrael — to coś więcej niż forma i treść, to coś, co pragnie urzeczywistnienia w całej naszej osobistej i ogólnoludzkiej wspólnocie. Od nas zależy dać dzieciom naszym punkt oparcia na świecie. Od nas zależy, byśmy im i sobie mogli powiedzieć: „Bądź spokojny, matka jest przy tobie!"

HALINA GÓRSKA.

My samotni, zbłąkani ludzie....

Fala zdziczenia i duchowego chamstwa coraz szerzej zalewająca Europę.

Tryumfujący ryk dzikiego szympansa, który przestał już wstydliwie kryć swoje bestjalstwo osłonkami takich, czy innych haseł i transparentów.

Szczerość wyzwolonej bestji gorsza jest bodaj od jej hipokryzji. — Świat zamienił się w dżunglę.

To nic, że wznoszą się drapacze chmur, to nic, że skrzydła aeroplanów przecinają przestrzeń w podniebnym locie, to nic, że głos ludzki przelatuje tysiące mil.

Przez dziką, pierwotną dżunglę, wędrują tak samo jak niegdyś bezbronni wobec żywiołu, ścigani rykiem zwierząt, nie mogący znaleźć schronienia, samotni, zbłąkani ludzie.

I nagle — powstaje w śmiertelnie znużonem sercu tęsknota za ucieczką od świata rzeczywistości, za ucieczką w kraj, jakże już od nas odległy, a jednak zawsze bliski, w kraj — dzieciństwa.

Siadasz sobie w kąciku Poradni dla dzieci trudnych do prowadzenia i myślisz, że oto przesuną się przed twemi oczyma troski tak inne od twoich. — Może jakiś nieukojony żal po stłuczonej lalce, może pragnienie zdobycia dalekich przestrzeni, a może zgoła jakieś inne, nieznane ci już dzisiaj i dawno zapomniane powikłania, do których będziesz mógł się uśmiechnąć z pełnem rozrzewnienia nad ich naiwnością współczuciem.

Oto właśnie wchodzi do Poradni ze ślicznym, jasnowłosym może pięcioletnim chłopaczkiem, o szafirowych, patrzących trochę z podełba oczach i usteczkach wygiętych w śmieszną podkówkę, wysoka, szczupła pani, w maleńkim niemodnym kapelusiku z piórkiem. Robi wrażenie nie matki, lecz starej panny z komedji francuskiej. Dyga zabawnie, przysiada na brzeżku krzesełka i zaczyna.

„Bo proszę pani, ja jestem ich ciotką, to jest jego i czworga starszych.

Matka jest chora, więc to ja zajmuję się niemi i czuję się odpowiedzialna za ich charakter. Pani rozumie?“ — uśmiecha się z zażenowaniem.

„Schorzenia duszy bywają przecież tak samo niebezpieczne jak ciała? Pani pomyśli może — stara warjatka! — Ale ja bardzo boję się o tego małego“.

Przyglądam się małemu pacjentowi, którego całą uwagę pochłania stojący na stole „Miś“ i obawiającej się o los jego duszy ciotce i z uśmiechem nie pozbawionym pobłażliwej ironji, czekam na jej groźne oskarżenie.

„Ten mały, to jest dziwne dziecko. Sam nigdy się nie bawi, ale zato niech tylko jego bracia ustawią sobie domek z klocków, albo z kart, lub narysują coś, to im zaraz zburzy i podrze.“

Uśmiecham się jeszcze wciąż, patrząc na małego przestępcę, ale niedostrzegalnie dla mnie samej, sprawa zaczyna mnie mniej bawić.

„No a dlaczego ty Jasiu jesteś taki niegrzeczny?“ pyta lekarka. „Czy to naprawdę tak przyjemnie psuć innym dzieciom zabawę?“

Milczenie.

„A może ty także chciałbyś budować, tylko nie masz swoich klocków?“

„Mam“ odpowiada ponuro mały.

„No więc dlaczego nie budujesz zamiast psuć?“

„Bo mnie zawsze się domki przewracają, albo są brzydkie, to niech i oni nic nie mają!“

Jest w tem wszystkiem coś dziwnie znajomego i ten mały, różowy, śliczny chłopczyk przestaje być dla mnie nagle uosobieniem świata bajki. Jest rzeczywisty. Bardzo rzeczywisty.

Doznaję niemal ulgi gdy wychodzi i gdy z kolei zjawia się matka z dwunastoletnim chłopcem o wysokiem czole i rozumnych, ciemnych oczach.

Słucham z zaciekawieniem.

Ta matka nie jest inteligentką. Drobna, przygarbiona, nędznie ubrana kobiecinka, o zaczerwienionych, jak gdyby od długiego płaczu powiekach.

„Pani doktorko“ zaczyna uroczyście, jak gdyby zamierzała wygłosić jakieś przemówienie. „Jak pani mi nie poradzi, to już chyba nikt. Jestem wdową, harowałam zawsze, cały dzień po praniach chodziłam, posługi jakie tylko były brałam, węgle jak chłop nosiłam, byle tylko jego na człowieka wychować. I nie mogę powiedzieć, dobre dziecko z niego było. Uczył się, usłuchany był i nikt się na niego nigdy nie skarżył. I nagle, od pół roku, jakby coś w niego wstąpiło, jakby go ktoś odmienił. Com się nie nabiła i nie naprosiła — na nic. Uczyć się nie chce, do nauczyciela z py-

skiem się stawia, inne dzieci potrąca i spokoju im nie daje, aż mnie dyrektor wołał i groził, że go ze szkoły wyrzuci.

Lekarka przygląda się z boku chłopcu, który słucha tych skarg matki patrząc przed siebie twardem, surowem spojrzeniem, a usta jego zaciskają się, jak gdyby skurcz zwierał mu szczęki.

„Czy naprawdę chciałbyś, żeby cię wydalono?" pyta, skinieniem ręki odprawiając matkę, która wychodzi pozostawiając chłopca z nami.

„Tak" brzmi krótka odpowiedź.

„Czy nie lubisz uczyć się?"

Milczenie.

„A może nie lubisz swoich kolegów, lub nauczyciela?"

Oczy chłopca zapalają się nagle żółtym ogniem.

„Nienawidzę ich!" rzuca chrapliwie, jakimś dziwnym, gardłowym głosem.

Lekarka pochyla się ku niemu łagodnie. „Nienawidzisz" powtarza. „To straszne słowo Józiu. Czy dobrze zastanowiłeś nad niem?"

Chłopiec znowu milczy.

„Dlaczego ich nienawidzisz?"

Odwraca głowę, patrzy w bok i nie odpowiada.

Lekarka przysuwa się ku niemu jeszcze bliżej i mówi coś do niego tak cicho, że nie mogę dosłyszeć jej słów, tylko miękki wnikliwy ton głosu.

I nagle Józek wybucha łkaniem i jak gdyby wyrzucał coś z siebie co dotychczas ukrywał przed wszystkimi, woła:

„Tak mnie skrzywdzili, proszę pani! Taka krzywda! Taka krzywda!"

I teraz lekarka nie potrzebuje już nalegać. Józek opowiada sam. Do jego szkoły chodzą same „lepsze" dzieci. Synowie kolejarzy, tramwajarzy, kupców. Przynoszą ze sobą na śniadania bułki ze szynką, słodycze i jabłka, mają wszystkie książki jakie tylko są potrzebne w szkole, zbierają marki. Zostawiają to wszystko w ławkach, ale przecież on nigdy nic, żadnemu z nich nie ruszył. Aż naraz, zginęła puszka do której chłopcy składali pieniądze. Mają taki samorząd i to właśnie była ich kasa. Wszyscy składali, tylko nie on, bo nigdy żadnych pieniędzy nie miał. I kiedy zginęła puszka, wszyscy na niego. „Oleszczak wziął!" Koledzy, nauczyciel, — wszyscy. Nawet Kosiński który był niby jego przyjacielem. Dlatego, że przychodził często bez śniadania i w podartych butach. Dlatego, że nie miał nawet połowy książek, dlatego... i chłopiec znowu wybucha łkaniem.

„Taka krzywda! Taka krzywda!"

Lekarka bierze go za rękę i mówi cicho po długiej chwili milczenia. „Ale przecież potem, kiedy się już wykryło, że to nie ty, to pewnie żałowali tego bardzo i starali się to naprawić — prawda Józiu?“

Ale Józek patrzy na nią ze zdziwieniem, tępym, jak gdyby zbudzonym ze snu wzrokiem.

„Przecież... przecież to nie mogło się wykryć że to nie ja.“

„Dlaczego?“ dziwi się z kolei lekarka.

„No bo przecież... przecież ja naprawdę wziąłem tę puszkę.“

Zdumienie lekarki, poradniarki i moje jest tak wielkie, że przez chwilę nikt z nas nie może wydobyć głosu. A potem, ja pierwsza, zapominając o swojej roli cichego słuchacza ukrytego w kąciku poradni, zrywam się i wołam:

„Ale w takim razie mój chłopcze, w takim razie to była prawda, więc gdzież tu jest — krzywda?“

„Tak“ odpowiada Józek. „To była prawda, ale przecież ja nigdy przedtem... i przecież oni nie powinni byli tak odrazu w to uwierzyć!“

I teraz już rozumiem: — Tak, oni nie powinni byli „tak odrazu w to uwierzyć!“

My wszyscy nie powinniśmy nigdy tak odrazu w „to“ wierzyć.

Sprawiedliwa niesprawiedliwość... Kłamstwo, które jest przecież prawdą...

Ten chłopiec ma niedziecinne serce.

Młodziutka opiekunka z Akcji, która wchodzi nieśmiało do poradni, nie przyprowadza ze sobą dziecka. Coprawda, to ona sama wygląda na duże zawstydzone dziecko. Jej szeroko rozwarte, jasno błękitne oczy mają wyraz wielkiego zdziwienia i zarazem dziecinnej, skupionej powagi.

„Proszę pani“ zaczyna szybko „ja przyszłam bez dziecka, bo to jest taki dziwny wypadek, zupełnie dziwny wypadek. Niech pani sobie wyobrazi, to dziecko się mnie boi i nie poszłoby ze mną.“

Lekarka uśmiecha się „tak, to jest rzeczywiście dziwny wypadek.“

„Bo może pani w to nie wierzy,“ — mówi zawstydzona i jakby trochę upokorzona panienka — „ale mnie wszystkie inne dzieci, to naprawdę bardzo lubią.“

„No“ uśmiecha się znowu lekarka „w to jest daleko łatwiej uwierzyć niż w to, że się któreś pani boi.“

Mimowoli wybuchamy śmiechem wszyscy, co wprowadza nieśmiałą panienkę w takie zakłopotanie, że czerwieni się aż po brzegi jasnych włosów.

„A jednak“ — mówi — „właśnie w tej sprawie przyszłam. Bo niedawno przydzielono mi, proszę pani, pewną nową rodzinę. Była to rodzina żydowska. Straszliwa nędza, poprostu umierali z głodu. Matka suchotnica, ojciec bezrobotny tragarz bez zasiłku i mały, zabiedzony, ośmioletni synek. I otóż niech pani sobie wyobrazi, że to dziecko nie chce wziąść niczego z mojej ręki. Nie odpowiada na moje zapytania, chowa się przedemną do kąta, albo pod łóżko, a kiedy staram się je ośmielić, rozweselić, lub skłonić do rozmowy, patrzy na mnie z osłupieniem i w odpowiedzi na wszystkie moje perswazje słyszę zawsze tylko jedne i te same słowa: „Przecież ja... przecież ja... Żydek jestem!“

„Więc proszę pani, ja zastanawiałam się nad tem długo i doszłam do przekonania, że to jest... tu panienka prostuje się nagle i wymawia termin naukowy z zabawnie dziecięcą powagą — że to jest — uraz psychiczny!...“

Lekarka kreśli coś ołówkiem po papierze. Ma spuszczone oczy, a na ustach jej błąka się trochę smutny uśmiech.

„Tak moje dziecko, mówi po dłuższej chwili, — masz słuszność. To jest — uraz psychiczny. Ale nie trzeba chłopca przyprowadzać do Poradni. Chorzy są ci, którzy takie urazy zadają.“

Jestem coraz bardziej zmęczona i chcę już odejść, ale poradniarka zatrzymuje mnie: „Niech pani poczeka — bardzo ciekawy wypadek!“

Znowu opiekunka z małą, sześcioletnią dziewczynką.

„To jest właśnie ta mała“, zwraca się do lekarki poradniarka, o której pani mówiłam. Ma sześć lat, słyszy, rozumie, powtarza na żądanie opiekunki pojedyncze słowa, tak jak powtarza je uczące się mówić dziecko. Nie jest więc ani głupia, ani niema, lecz mimo to, nie mówi.“ —

Podczas tych objaśnień mała, żywa jak iskierka biega po całym pokoju, ogląda zabawki, podchodzi do nas i śmiało opiera nam rączki na kolanach, zagląda nam w oczy, przytula się do nas.

W zachowaniu jej jest coś dziwnego.

Czyni wrażenie wypuszczonego na swobodę małego zwierzątka.

Jednakże ani w jej nagłych i niezrozumiałych dla nas wybuchach śmiechu, ani w ciągłych skokach, ani w zachwycie, który wyraża klaskaniem w dłonie niema niczego nienormalnego. Lekarka przeprowadza próby, poczem nagle zapytuje opiekunkę ze zdumieniem — „Niech mi pani powie, jaki właściwie tryb życia prowadzi to dziecko?!“

„Rodzice jej“ odpowiada opiekunka“ są żebrakami. Wychodzą z domu o świcie, wracają dopiero wieczorem, kiedy mała już

śpi. A dziecko zostawiają przez cały dzień same, zamknięte w małej komóreczce. Dawniej przychodziła ją nakarmić sąsiadka, obecnie zostawiają jej jedzenie na stołeczku.“

Lekarka spuszcza głowę. — „Tak“ — mówi — „teraz rozumiem! To dziecko nie jest ani głuche, ani nieme, ani nienormalne — poprostu nie nauczyło się mówić, ponieważ — nikt do niego nie mówił!“

Mam już tego dość. Uciec stąd, uciec jak najprędzej.

W poczekalni jednak, zatrzymuję się zdziwiona. Śmiejąca się poradniarka napróżno usiłuje wyprawić do domu dwóch chłopców.

„Czy to także pacjenci?“ pytam.

„Nie, oni dzisiaj nie mieli właściwie przyjść, jednakże — objaśnia mnie cicho — te biedne dzieci czują się właściwie tylko tutaj dobrze. Zrozumie to pani jeśli pani powiem, że ojciec tego małego, aby go odzwyczaić od pewnych nałogów każe mu klęczeć na gwoździach.“

„Ależ to jakiś zbrodniarz!“ — wybucham.

Poradniarka wzrusza ramionami.

„Nic podobnego — mówi — i nawet kocha bardzo syna. Uważa jednak, że to dla jego własnego dobra.“

Promienny świat dzieciństwa...

Jak to dobrze, że wyszłam już stamtąd!

Na ulicy jest cicho, tem ciszej im bardziej posuwam się w górę ulicy Piekarskiej. Z za płotów ogrodów dolatuje zapach rozkwitających bzów.

Zapada coraz głębszy zmierzch. Na granatowem niebie jedna po drugiej wschodzą gwiazdy. Ale nic nie przynosi odpoczynku i ukojenia.

Mur kamienic jest ciepły. Wewnątrz pulsuje życie, obce, niezrozumiałe, pełne ciemności i okrucieństwa.

I nagle przychodzi mi do głowy dziwna myśl.

Czy my wszyscy, źli i dobrzy, mądrzy i głupi, szlachetni i podli, nie jesteśmy tylko biednemi, choremi i zbłąkanemi dziećmi. Dziećmi, które burzą pracę innych, ponieważ same nie umieją budować.

Dziećmi, które są niesprawiedliwe w swej głupiej i bezwzględnej sprawiedliwości.

Dziećmi, które zadają sobie bezmyślnie najboleśniejsze ciosy.

Dziećmi, które rozrywają rany po nich, aby się nigdy nie zagoiły.

Dziećmi, które każą klęczeć swym najbliższym na gwoździach, dla ich własnego dobra.

Dziećmi, które nie umieją znaleźć nici porozumienia, ponieważ poprostu — nie nauczono ich mówić.

I myślę, że powinien przyjść ktoś i pochylić się nad nami i wziąść w dobre i mądre i kojące ręce nasze biedne, smutne i zbłąkane serca.

Dr. EMMA MOŚCISKER.

O kulturalnem i społecznem znaczeniu mowy.

Rabi Gamliel zwrócił się pewnego dnia do swego niewolnika z poleceniem, by udał się na targ i zakupił, co tylko istnieje najlepszego. Niewolnik usłuchał i panu swemu przyniósł ozór. Gdy mu Gamliel przypomniał, że kupić miał rzecz jaknajlepszą, odparł, że nie ma na świecie nic lepszego ponad język. Następnego dnia Gamliel znów wysłał swego niewolnika na targ, lecz tym razem polecił mu by kupił rzecz jaknajgorszą. Niewolnik spełnił dany mu rozkaz, a gdy wrócił, przyniósł — ozór. Zdziwionemu panu swemu zaś wytłumaczył, że niema w świecie rzeczy gorszej niż język.

Język — rzecz jasna — jest w tym wypadku tylko symbolem mowy. Mowa jest zatem rzeczą najlepszą i najgorszą, a to z tego względu, bo jest wiernem zwierciadłem duszy ludzkiej. Wszystkie myśli i uczucia, wszelkie przeżycia duchowe, wszystko co umysł ludzki porusza wiernie się w niej odbija. Jest to największy dar, którym przyroda obdarzyła człowieka i którym wyróżniła go z pośród innych jestestw. Żadne inne stworzenie nie posiada daru mowy rozumnej. Mowa jest zatem najistotniejszą cechą człowieczeństwa. Jest ona nieskończenie piękna temsamem, że duchowi ludzkiemu daje możność objawienia się w całem swem bogactwie i różnorodności. Poeta i filozof używa słów jako materjału, w którym tworzy; w słowa przelewa on swe najgłębsze przeżycia, by się niemi podzielić z swymi ziomkami. W słowach ujawnia się odruch serca. Jak wdzięczni jesteśmy czasem za „dobre słowo"!

Słowo idzie od człowieka do człowieka, łączy ludzi i temsamem stanowi czynnik społeczny niezmiernie doniosły. Człowiek, nawet gdy jest bardzo silną i wybitną indywidualnością, nie stanowi całości wsobie zamkniętej, lecz zyskuje dopiero pełne znaczenie przez swój stosunek do społeczeństwa. Łączność z innymi ludźmi jest rzeczą niezbędną, a najważniejszym środkiem umożliwiającym styczność jest mowa. Na drugiem dopiero miejscu stoi pismo.

W języku greckim słowo, mowa znaczy λόγος i logos stał się przedmiotem rozmyślań i teorji filozoficznych. Według szkoły aleksandryjsko-żydowskiej logos oznacza przedwieczną myśl Boga o sobie samym, rozum i mądrość Boga, która występuje na zewnątrz przy stworzeniu świata. Logos w pojęciu Heraklita jest rytmem, prawidłowością zmienności bytu, rozumem świata. Zdolność poznawania wywodzi Heraklit z powszechnego logosu czyli sensu świata. Logos jako rozum świata jest wszędzie ten sam, jest on wszędzie w wszechświecie jednakowo działającą siłą, a musi uczestniczyć w logosie każdy poznający osobnik. Heraklitowska nauka o logosie jest ważną częścią składową filozofji Stoików. Wychodząc z założenia, że wszystko w wszechświecie łączy się w jedną całość przyjmują Stoicy logos jako istotę rzeczy: obejmuje nietylko ducha, lecz i materję. Philo nazywa logosem najwyższą ideę „ideę idei". Bóg stworzył świat, a logos jest pośrednikiem między Bogiem a materjalnym światem.

Chrześcijaństwo pojmuje logos jako objawienie istoty Boga w postaci syna Bożego; Chrystus jest zatem wcieleniem lgosu. Evangelium Johannis zaczyna się od słów: *ἐν ἀρχῇ ἦν ὁ λόγος* Z początku był logos. Herder męczył się nad przetłumaczeniem i szukał za słowem, któreby określało pojęcie, wyrażenie, myśl, słowo. A w „Erläuterungen zum Neuen Testament" określa logos jako „obraz Boga w duszy ludzkiej. Myśl, słowo, wola, czyn, miłość". Goethe wkłada Faustowi następujące słowa w usta:

Geschrieben steht: Im Anfang war das Wort.
Hier stock ich schon! wer hilft mir weiter fort?
Ich kann das Wort so hoch unmöglich schätzen
Ich muss es anders übersetzen,
Wenn ich vom Geiste recht erleuchtet bin.
Geschrieben steht: „Im Anfang war der Sinn".
Bedenke wohl die erste Zeile
Dass deine Feder sich nicht übereile!
Ist es der Sinn der alles wirkt und schafft?
Es sollte stehen: „Im Anfang war die Kraft".
Doch, auch indem ich dieses niederschreibe,
Schon warnt mich was, dass ich dabei nicht bleibe.
Mir hilft der Geist! Auf einmal seh ich Rat
Und schreib getrost: „Im Anfang war die Tat".

Faust rozpoczyna tłumaczenie Lutra, które mu najlepiej odpowiada, gdyż pozostawia ono szerokie i ciemne pojęcie logosu nietknięte. Ale Faust szukając za praźródłem istnienia podsuwa Janowi swe własne zapatrywania, przyczem coraz bardziej odbiega od logos w najściślejszem znaczeniu i dochodzi do słowa „Tat".

Greckie *λόγος* oznacza zatem mowę, słowo, myśl, rozum,

sens, siłę, czyn, boski pierwiastek w człowieku. W żadnym z żyjących języków europejskich nie znajdujemy tak głęboko ujętego pojęcia słowa.

Słowo jest wielkie i potężne, a słowo żywe, słowo mówione jest niem o wiele więcej niż słowo w jakiejkolwiek innej formie. Znaczenie słów zmienia się zależnie od sposobu w jaki zostają powiedziane, wszelkie subtelne odcienie nastroju oddaje dopiero głos. Jedną z wielkich polskich artystek dramatycznych w czasie jej pobytu w Ameryce proszono w pociągu, by coś zadeklamowała. Nikt z obecnych nie znał języka polskiego. Aktorka zaczęła liczyć raz dwa trzy... i t. d. Wszyscy myśleli, że artystka zadeklamowała treściwy poemat, tyle wyrazu umiała włożyć w słowa mało znaczące.

Słowo — jako takie — nie stanowi istoty rzeczy, jest ono tylko formą zewnętrzną treści. Myśl silna przebije się i okaże w swej wielkości bez względu na formę, lecz słowa — a mianowicie nie tylko ich dobór, lecz sposób, w jaki zostały powiedziane — rozstrzygają o wrażeniu estetycznem. Na im wyższym zaś stopniu kultury człowiek stoi, tem więcej wagi przywiązuje do strony estetycznej. Mówić pięknie jest sztuką, tak jak śpiewać lub grać na jakimkolwiek instrumencie. Jest nią w ustach aktorów i recytatorów. Lecz mówić musi każdy człowiek w życiu codziennem, a sposób mówienia jest poniekąd miernikiem kultury.

Podać na czem polega piękno mówienia jest rzeczą niemniej trudną jak zdefinjować pojęcie piękna wogóle. Według jednych pięknem jest, co się podoba. Inni zaś twierdzą, że istnieje absolutny ideał piękna. Przeciwieństwo między temi dwoma zapatrywaniami nie jest tak wielkie, jakby się w pierwszej chwili mogło zdawać, gdyż absolutny ideał piękna też musi być przez ludzi poznany. Co się zaś tyczy mowy, zdaje mi się, że jedną rzecz mogę śmiało podnieść: By mówić pięknie, trzeba przedewszystkiem mówić poprawnie.

W jaki zaś sposób odbywa się akt mowy? Jest to proces skomplikowany, związany z czynnością całego szeregu organów. By się mogła rozwinąć mowa, niezbędną jest prawidłowa funkcja narządów zmysłowych, a przedewszystkiem słuchu; lecz wzrok i czucie również wchodzą w rachubę, gdy idzie o rozwój mowy. Wspomniałam już przedtem, że mowę rozumną wśród wszelkich żyjących istot posiada tylko człowiek. Pochodzi to stąd, że mózg człowieka stoi na wyższym szczeblu rozwoju; zdolność mówienia jest bowiem ściśle związana z czynnością mózgu. Zrozumienie mowy jest funkcją mózgu, mózg też wysyła impuls do grup mięśniowych, których skurcz jest niezbędny przy wykonaniu oddechu, fonacji i artykulacji. Oddech ma znaczenie zasadnicze, gdyż głos

stanowi zgęszczone i rozrzedzone fale powietrza wydechowego. Fale te zaś powstają wskutek perjodycznego drgania strun głosowych. Wargi, koniec i nasada języka wykonują ruchy, które rozstrzygają o brzmieniu poszczególnych głosek. Przestrzeń leżąca powyżej głośni t. j. jama ustna, noso-gardłowa i nosowa, odgrywa rolę resonatora i jest miarodajną gdy idzie o barwę głosu.

Schorzenia wymienionych narządów powodują zaburzenia lub nawet zupełną utratę mowy. Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że dzieci, które urodziły się głuche, lub straciły słuch zanim umiały mówić, pozostają nieme. W późniejszym wieku nabyte upośledzenie słuchu , lub jego zupełna utrata objawia się niedokładnością wymowy, bełkotaniem, szeplenieniem i t. d. Schorzenia mózgu stają się przyczyną poważnych zaburzeń lub też utraty mowy zależnie od charakteru i lokalizacji choroby. Język odgrywa przy mówieniu ważną rolę, nie jest on jednak — jak się ogólnie przypuszcza — najważniejszym narządem mowy. Mało znany jest fakt, że mówić można nawet całkiem bez języka. Wargi i podniebienie miękkie obejmują wówczas zastępczo funkcję języka. Zdarzało się to we wiekach średnich, kiedy podczas tortur wyrywano język, obecnie gdy język z powodu złośliwego nowotworu zostaje całkowicie usunięty. Zmiany chorobowe w zakresie nosa, jamy nosogardłowej lub krtani również zmieniają brzmienie mowy.

Zdarza się jednak, że wszelkie narządy są zdrowe, a mimo to głos lub artykulacja wykazuje wady. Pochodzi to stąd, że dany osobnik w błędny sposób używa swych narządów mowy. Wspomniałam poprzednio jak ważnym czynnikiem społecznym jest mowa, toteż między wadami mowy, a zaburzeniem w czuciu społecznem istnieje ścisły związek. Im zdrowiej człowiek myśli i czuje, tem silniej jest przekonany, że jako jednostka odosobniona nie zdoła pokonać trudności zewnętrznych i wewnętrznych, które życie każdemu z nas przysparza. Inaczej ma się rzecz u neurotyków. Neurotyk nie wierzy w własne zdolności, z nieufnością odnosi się do innych i w miarę rozwoju jego poczucia małej wartościowości szuka za środkiem chroniącym go przed życiem i ludźmi. Niezdolność poprawnego mówienia staje się dla niego wałem ochronnym przed społeczeństwem i na tle asocjalnego nastawienia rozwija się wada mowy. Jest ona znakomitą wymówką, usprawiedliwiającą brak powodzenia w życiu i unikanie ludzi t. j. sposobności porównywania swej mało-wartościowej osoby z innymi. „Z tą mową coś uzyskać jest niemożliwością".

A jeśli asocjalne nastawienie powoduje rozwój błędnej mowy, to też odwrotnie wadliwa mowa prowadzi do konfliktów ze społeczeństwem. Ludzie, mający chociażby nieznaczną wadę mowy, są często przedmiotem pośmiewiska i dowcipów. Dziecko błędnie

mówiące przechodzi w szkole gehennę. Aktorzy często naśladują jąkałów celem rozbawienia publiczności, a nikt z pewnością nie myśli o mękach, jakie wtedy przeżywa obecny wśród widzów jąkała. Nie trzeba wcale być przeczulonym, by się nie czuć dobrze w roli obśmiewanego, to też u takich ludzi z łatwością rozwija się poczucie małej wartościowości.

Poprawna i piękna wymowa, oraz umiejętność używania narządów mowy jest nietylko sprawą poczucia estetycznego, jest ona też koniecznością praktyczną. W całym szeregu zawodów głos i mowa stanowią narzędzie robocze n. p. u aktorów, śpiewaków, nauczycieli i t. d. Brak hygjeny i nieprawidłowe używanie organów mowy i głosu prowadzi do poważnych zaburzeń, które utrudniają lub uniemożliwiają wykonywanie zawodu. Każda wada mowy dla zawodowego mowcy staje się kulą u nogi. Jeżeli n. p. profesor wykładający, adwokat w sądzie lub poseł w sejmie wygłosi mowę myślowo doskonale przeprowadzoną, a jąka się przytem lub szepleni, uzyska efekt ujemny i stanie się figurą komiczną.

Usunięcie wady mowy zmienia zupełnie stanowisko danego osobnika do otoczenia. Przestaje on być upośledzonym, może swobodnie przystawać z innymi, wykonywać zawód i zajmować należne mu stanowisko.

Dr. M. FRIEDLÄNDER (Kraków).

Wychowanie młodzieży we wieku przełomowym[1])

„Aby wychowywać młodzież, trzeba rozumieć ją niegorzej, niż ona sama siebie, ale jeszcze ponadto znacznie głębiej, niż ona się zrozumieć może.“
Stefan Szuman.

Wiek przełomowy stanowi dla rodziców i wychowawców pod względem wychowawczym okres najcięższy i najtrudniejszy. Matki skarżą się zwykle w tym czasie, że tracą wszelki wpływ i wszelką władzę nad dziećmi; ojcowie, zajęci całemi dniami w zawodzie, słyszą za każdym powrotem do domu o nowych wybrykach i grzechach swych dzieci, a zwłaszcza synów; kary się mnożą, a pozostają zwykle bez oczekiwanego skutku; w szkole też nie jest wtedy najlepiej — słowem: zmartwienie i niezadowolenie w domu, odbijające się naturalnie także na samych „winowajcach“, na dzieciach, które wcale nie czują się tak win-

[1]) por. moją rozprawkę „Zmiany duchowe u młodzieży we wieku przełomowym“, Lwów 1929, odbitka z „Przeglądu Społecznego“ 1929.

nemi, za jakie się je uważa i przeświadczone są o niesprawiedliwości, z jaką się świat dorosłych do nich odnosi, o krzywdzie, jaka się im dzieje.

Rozważmy, jakie to środki i metody postępowania wobec młodzieży, mogłyby złagodzić owe przykre objawy napięcia między młodzieżą a rodzicami, względnie dorosłymi, oraz pomóc jej do wyjścia z chaosu duchowego owych lat przełomu.

Stwierdźmy przedewszystkiem, by zapobiec mylnym interpretacjom nastawienia duchowego młodzieży wobec generacji dorosłych, jako wychowawców: Młodzież pragnie rozumnego kierownictwa i chce się dać wychowywać. Wewnętrzna niepewność, przejawiająca się w przejściowym stanie umysłowości, niejasności stanów uczuciowych oraz nieokreśloności woli, stojącej pod przemożnym naporem instynktów, wytwarza w młodocianym wyraźną potrzebę oparcia się o kogoś, jako powiernika, przyjaciela i kierownika, któryby mu pomógł dojść do uporządkowania myśli, uczuć i pragnień.

Takim przyjacielem i kierownikiem może się stać i powinien być wychowawca: ojciec, matka, opiekun, nauczyciel, o ile zechce młodocianego zrozumieć, a zrozumiawszy pomóc.

Rozumiejąc młodzież, potrafi wychowawca zastosować odpowiednie środki wychowawcze, stosujące się tak do odnośnej fazy rozwojowej, jak i do danej indywidualności wychowanka. Innej przecież taktyki wychowawczej trzeba będzie użyć we fazie przyrostu sił, wymagającej silnej ręki, ukracającej wybryki i przekorę; innej wymaga faza negatywna, wobec której najodpowiedniejszem wydaje się wyczekująca cierpliwość; innej potrzebuje właściwy okres przełomu, pełen wewnętrznych walk i dysharmonji, którą trzeba subtelnie uspokajać i koić, rozumnie skierowując wezbrane nurty młodej osobowości w odpowiednie łożysko; innej wreszcie wiek młodzieńczy, zaznaczający się wybitnem dążeniem do samodzielnych form życia, a jednak poddający się chętnie kierownictwu wybitnej indywidualności, umiejącej młodzieńca lub dziewczynę zwrócić ku ideałom i działaniu.

Z przymiotów, cechujących każdego dobrego wychowawcę, najkonieczniejsze są stałość i konsekwencja w postępowaniu. U jakżeż niewielu wychowawców, w szkole czy w domu, znajdujemy te ważne właściwości! Bezplanowość postępowania, objawiająca się bądźto w wybuchach gniewu i surowości, bądźto ustępliwości i źle rozumianej pobłażliwości ze strony wychowawców musi odbić się niekorzystnie na rozwoju młodocianych, którzy, nie czując kierownictwa, lekceważą sobie coraz więcej tych,

dla których przedtem czuli uszanowanie i miłość, i, ulegając łatwo popędom i wpływom, zbaczają z normalnej drogi rozwojowej. Charakterystyczną jest często różnica w zachowaniu się tychsamych dzieci w domu, gdzie sobie „na wszystko pozwalają", a w szkole, gdzie, poddając się autorytetowi któregoś zrównoważonego i rozumnego pedagoga, nie dają wcale powodu do narzekań. Przyczyna leży właśnie w sposobie nieracjonalnego postępowania rodziców, a racjonalnego zachowania się nauczyciela, który bez krzyku i wyzwisk, spokojem i konsekwencją działa na nie uspokajająco i hamująco.

Drugą ważną cechą wychowawcy winna być życzliwość wobec wychowanka. Młodociany powinien to odczuć, że u swego wychowawcy znajdzie w potrzebie poza surowością, hamującą jego wybryki, życzliwe ucho dla swych trosk i pomocną dłoń w potrzebie. Tem się tłumaczy przywiązanie całych klas do surowego, ale rozumiejącego młodzież nauczyciela, do którego młodzież nabiera zaufania i sympatji.

Przy takiem nastawieniu duchowem wobec młodzieży, wychowawca znajdzie łatwo najodpowiedniejszą drogę postępowania wychowawczego. Rozumiejąc psychikę młodocianego, dojdzie wychowawca do podstawowej zasady wychowawczej tego wieku: w uwzględnieniu silnej dążności do znaczenia i samodzielności tego okresu oraz z drugiej strony mając na uwadze jako cel wychowania doprowadzenie wychowanka do samodzielności umysłowej i życiowej, koniecznem wydaje się wydatne ograniczenie metod wychowania autorytatywnego, czyli opierającego się na uleganiu woli wychowawcy, na rzecz metody przyjaznej, życzliwej i rozumnej wyrozumiałości dorosłego przyjaciela i doświadczonego doradcy. Niejeden dorosły uważa zajęcie takiego człowieka i „zadawanie się z młokosem", za będące „poniżej jego godności". Taki dorosły nie nadaje się na wychowawcę młodzieży. Chcąc bowiem naprawdę wpływać na nią i pomagać jej wychowawczo, trzeba umieć stanąć na płaszczyźnie jej życia, umieć wraz z nią być młodym, umieć z nią rozmawiać bez ironji, umieć zachować cierpliwość i opanowywać się wobec jej bezwzględności młodzieńczej, umieć uszanować jej wrażliwość oraz nauczyć ją także rozumieć dorosłych i ze swej strony tym dorosłym pomagać. To podniesie młodzież w jej własnych oczach i utwierdzi w poczuciu własnej wartości.

Zdaje się, że występujące we wieku przełomowym tak częste nieporozumienia między młodzieżą a rodzicami, wynikają z niezrozumienia przez rodziców, a zwłaszcza

ojców, konieczności zmiany postępowania wobec dzieci. Gdy bowiem metoda wychowania autorytatywnego, wychowania do posłuszeństwa i uznawania autorytetu zewnętrznego i woli zewnętrznej, odpowiada raczej psychice dziecka przed okresem dojrzewania (chociaż i tutaj pedagogika współczesna zaleca więcej swobody dla własnej woli dziecka), to już zupełnie nie nadaje się ona dla wieku przełomowego i okazuje się wysoce szkodliwa dla rozwoju samodzielnego myślenia i postępowania [2]).

Łatwo chyba zrozumieć, że skoro, jak zaznaczyliśmy, główną treścią wielkiej przemiany duchowej tego wieku, jest odkrycie swego Ja, i poczucie własnej wartości, to wszelkie ograniczenie własnej jaźni przez obcy autorytet musi przybrać cechy przykrego przymusu; młodociany musi odczuć wszelkie narzucanie obcej woli i żądanie bezkrytycznego posłuszeństwa, jako ucisk i przemoc zewnętrzną. Nadto dla samego rozwoju osobowości młodzieńczej jest to rzeczą wielce szkodliwą, jeśli, narzucając jej gotowe formuły i poglądy, wskazując jej wyżłobione już drogi, uniemożliwia się jej twórcze szukanie nowych wartości kulturalnych, szukanie nowych własnych, innych dróg. Jest to zarazem oczywista szkoda dla społeczeństwa i kultury, na której postęp składają się właśnie takie poszukiwania młodej generacji. Wychowanie autorytatywne stoi zresztą w sprzeczności z ostatecznym celem wszelkiego wychowania, tak, jak je dzisiaj pojmujemy. Celem tym bowiem jest takie umysłowe i życiowe usamodzielnienie wychowanka, by wychowawca i jego opieka stały się zbędne. Takie usamodzielnienie nie może jednak nigdy być następstwem wychowania autorytatywnego, ograniczającego przecież swobodę myślenia i działania wychowanka. Wiek przełomowy, w którym oczy dziecka zwracają się na własne Ja, jest najlepszą porą do pobudzenia dziecka do samokształcenia i do rozbudzenia w niem poczucia odpowiedzialności za własne postępowanie. Doświadczenie poucza nas, że młodzież trzymana zbyt ostro i krótko we wieku przełomowym, wypuszczona potem z pod autorytetu domowego, nadużywa swojej swobody, której nie nauczyła się przedtem rozumnie i odpowiedzialnie używać, i częstokroć marnie spada na dno społeczne.

Używanie metod autorytatywnych jest główną przyczyną starć między młodzieżą a rodzicami w tym wieku. Zwłaszcza między ojcem a synem dochodzi do takich starć. Zwykle ojciec, zapracowany i za-

---

[2]) por. moją rozprawkę „Dzieci i dorośli“ Kraków, 1932, Dom Książki Polskiej, — odbitka z „Przegl. Społ.“ 1931.

jęty poza domem, nie zauważa tak rychło zmian w psychice chłopca zachodzących, jak matka, bardziej bystra w swej obserwacji i bliżej z dziećmi żyjąca; nie rozważa zwykle tego, że nie można traktować tego dorastającego młodego człowieka, jak dotychczas, jak dziecko. Wymagając w dalszym ciągu posłuszeństwa, używając takiego tonu, jak wobec dziecka i t. d., powoduje owe starcia. Dotychczasowe ukochanie i uszanowanie dla ojca zanika stopniowo, ustępując miejsca uczuciu niesprawiedliwego ucisku, a nawet, niejednokrotnie, nienawiści. Dziewczęta nie doprowadzają do takich silnych i częstych starć, zachowując się raczej biernie, cofając się w siebie i tworząc sobie swój świat urojony, w którym przebywają.

Rodzice powinni zrozumieć, że usiłowania dziecka w kierunku zwolnienia się ze stosunku dziecięcej zależności od rodziców są objawem naturalnym i w tym wieku koniecznym. Jeśli zaś takiem jest prawo przyrody, jeśli zwolnienie z pod władzy autorytetu dorosłych musi nastąpić, to czyż nie lepiej rozumnie przygotować tę chwilę, by nadeszła po stopniowem przygotowaniu dziecka do niej przez samychże rodziców? Czyż nie lepiej zwolna rezygnować z przywilejów rodzicielskich na rzecz samodzielności dziecka? Jeśli bowiem rodzice trwają przy swoim źle pojętym autorytecie (a są tacy, którzy chcą się nim posługiwać nawet po pełnoletności dziecka!), to skutki mogą nastąpić dwojakie: albo dziecko wykazuje na tyle siły woli, by nie dać się złamać, by chwycić się środków walki z przemocą i konflikt zaostrza się do znanych wypadków zamachów samobójczych i morderczych, ucieczek z domu i t. d., albo też: dziecko o słabszej woli ulega, wola jego zostaje zgięta, skruszona, by nigdy więcej nie wyprostować się i rozróść; z takich dzieci wyrastają ludzie bezwolni, słabi, bezsilni poza rodziną, umiejący chyba wykazywać swój urojony „autorytet“ wobec słabszych, n. p. domowników, służby, zwierząt, dzieci.

Na takiem więc stojąc stanowisku, uznamy prawo młodzieży do pewnej swobody i samodzielności w zakresie jej życia. Ze zrozumieniem dla tego prawa potraktujemy takie życzenie dziecka, jak własny kąt, pokój, stolik, szafkę, własne pieniądze na drobne wydatki osobiste, z których nie musi się zdawać rachunku i t. p. Młodociany chce mieć coś swego! Także pewne sprawy swego życia chce mieć tylko dla siebie, chce mieć własny pogląd na niektóre zagadnienia, chce mieć własne myśli o ludziach i świecie. Młodzież dochodzi oczywiście często do błędnych myśli i przekonań, albowiem nie zna jeszcze świata, nie posiada doświadczeń. Powiada Lindsey: „Młodzież dąży zawsze do rzeczy dobrych, a jeżeli robi

co złego, to przyczyna tkwi w jej niewiedzy i nieumiejętności rozróżniania.“ By ją od błędów odwieść, a doprowadzić do prawdy i zdrowej oceny rzeczywistości, użyjemy raczej innej drogi, niż autorytetu: wykorzystamy istniejącą w młodzieży potrzebę oparcia się o autorytet.

Przedewszystkiem odpowiemy na jego pragnienie szczerego wypowiedzenia się, dając mu możność rozmów i pogadanek z nami. Jest to znakomita droga wzajemnego zbliżania się generacyj. Chodzi tylko o tę umiejętność ich prowadzenia, która cechuje prawdziwego przyjaciela młodzieży, umiejętność, która zyska z czasem ufność młodzieży — najważniejszy warunek szczerości we wzajemnem obcowaniu. Młodzież nie zawsze opiera się poglądom i zdaniom ludzi starszych. Umie i ona ustępować i dać się przekonać — ale zwolna, stopniowo, po samodzielnych rozważaniach. Umie też uszanować cudze przekonania, jeśli widzi, że się jej zostawia swobodę jej myśli.

Ale ważniejszy niż rozmowy z młodzieżą ,jest dawany jej przez wychowawcę przykład. Czyż mało grzeszą rodzice pod tym względem? Dzieci dobrze zauważają różnicę między słowami a postępowaniem swych wychowawców, rodziców czy nauczycieli i wyciągają z tego faktu jedynie możliwe konsekwencje: nie wierzą im i odwracają się od nich. Ani rodzice, ani nauczyciele nie mogą być doskonali. To prawda. I nie tego się żąda. Ale im bardziej są bliscy młodzieży, im mniej udają świętych, im mniej używają górnolotnych słów, im wyrozumialsi są dla dzieci, nie stając się za miękkimi, im mniej dają na swój autorytet zewnętrzny, a im bardziej utwierdzają w sercach dzieci swój autorytet wewnętrzny, tem łatwiej młodzieży wybaczyć błędy dorosłych, tem łatwiej utrzymać ją przy sobie, tem łagodniej odbywają się te konieczne z natury wyzwoliny młodego człowieka z pod władzy dorosłych.

Pragnąc wpływać na kierunek kształtowania się charakteru młodocianego, wyzyskamy przedewszystkiem istniejący u młodocianego pęd do idealizmu, kierując go w stronę wartości religijnych, moralnych, artystycznych, społecznych. W tych wartościach znajdzie młodociany z czasem oparcie wewnętrzne, do którego będzie wracał po wędrówkach na bezdrożach swoich instynktów, w tych wartościach znajdzie z czasem pewną treść życiową, z ich pomocą dojdzie z czasem do równowagi i harmonji wewnętrznej.

Religijność leży u podstawy światopoglądu młodocianego, objawiając się jako wrodzony niejako pęd do Bóstwa, jako uczuciowe, podświadome szukanie sensu świata i życia. Uczucie

to jest u dziecka, jak podkreśla Spranger, początkowo egocentryczne, czyli odnoszące wszystko do własnego, małego Ja; we wieku przełomowym obejmuje ono otwierające się przed młodą duszą tajnie i zagadki życiowe, nierzadko nabierając cech mistycyzmu. Wychowanie musi liczyć się z tem poważnem i głębokiem nastawieniem religijnem młodocianych, starając się je utwierdzić i pogłębić myślowo, bacząc jednak, by nie zrazić młodzieży szablonem i czczą formą pustych słów i praktyk, poza któremi nie znajdzie ona poszukiwanej i upragnionej treści. W tym braku treści leżą częstokroć przyczyny odwracania się młodzieży od religji i szukania jej w innych wartościach. W żadnej dziedzinie wychowanie autorytatywne nie okazuje się szkodliwszem, aniżeli właśnie w dziedzinie religijności i moralności, w żadnej nie trzeba właśnie tyle subtelnego zrozumienia duszy, aniżeli tutaj. Od oględnego postępowania wychowawcy, działającego raczej atmosferą i przykładem, aniżeli słowem, zależy przyszłe ustosunkowanie się młodego człowieka do najgłębszych zagadnień życia i wieczności.

Wychowanie moralne młodzieży jest dzisiaj, jak zawsze, zresztą, problemem najtrudniejszym i najbardziej skomplikowanym wśród wszystkich problemów pedagogicznych. Z głosów, jakie odzywają się w ostatnich latach na Kongresach Wychowania Moralnego, gromadzących elitę wychowawców świata kulturalnego, daje się wywnioskować i w tej dziedzinie silny zwrot ku nowym zasadom pedagogicznym. Metoda pouczania moralnego, opierająca się na zewnętrznym przymusie, na narzucaniu młodzieży gotowych poglądów i formuł, okazuje się w praktyce bezskuteczną. Charaktery kształtują się raczej drogą oddziaływania bezrefleksyjnego, czyli nieumyślnego ze strony otoczenia, w jakiem młodzież się obraca. Nie znaczy to, że wychowawca nie wywiera swego wpływu. Wywiera go raczej pośrednio, niż bezpośrednio, a to przez kształtowanie atmosfery życiowej wychowanka. Celem takiego wychowania moralnego jest doprowadzić młodzież do wewnętrznego przeświadczenia o konieczności pewnego porządku moralnego, któremu się należy poddać i go przestrzegać. Zamiast więc przymusu moralnego zwycięża w dzisiejszej pedagogice idea autonomji moralnej.

Jakżeż więc, konkretnie mówiąc, należy kształtować ową tak ważną atmosferę życiową dojrzewającej młodzieży?

Atmosfera życia rodzinnego jest bezwątpienia najważniejszym czynnikiem otoczenia życiowego dziecka. Jest ona pierwszą i najważniejszą szkołą charakteru. Od niej zależy we wielkiej mierze harmonijny rozwój osobowości dziecka i jej stosunek do społeczności. Stosunek między małżonkami decyduje oczywi-

ście o stosunku rodziców do dzieci, albowiem tylko na tle harmonji małżeńskiej rozwinąć się może rozumne i konsekwentne postępowanie wychowawcze matki i ojca wobec dziecka. Nieuporządkowane stosunki rodzinne odbijają się fatalnie na rozwoju dziecka, które zwłaszcza w okresie przełomowym przeżywa wszelkie zajścia rodzinne bardzo głęboko, dochodząc pod ich wpływem w swej egzaltacji nierzadko do załamania duchowego.

Równie ważną staje się we wieku dojrzewania atmosfera społeczna, w jakiej obraca się młodociany poza domem. Wchodzi tu w rachubę głównie towarzystwo rówieśników. Byłoby zupełnie bezowocnem zabranianie obcowania z rówieśnikami, jest ono bowiem ze względów psychologicznych koniecznem dla młodej jednostki, wrastającej tą drogą w społeczeństwo. Obowiązkiem jednak wychowawcy jest roztoczenie bacznego, a nie narzucającego się dozoru nad doborem ich i sposobem wspólnego spędzania czasu. Raczej przyjmowanie w domu kolegów syna czy koleżanek córki, choćby cierpiał pod tem porządek w danym pokoju, raczej udzielenie pełnej swobody w wycieczkach, sportach i innych rozrywkach w gronie rówieśników za wiedzą i poparciem rodziców, aniżeli tajemne wymykanie się z domu w towarzystwie nieznanych rodzicom jednostek, które potrafią chłopca czy dziewczynę ściągnąć na manowce. W takich wypadkach nie pomaga żadne śledcze wypytywanie, żadne zamykanie w domu, żadne zakazy. Tylko interesowanie się życiem społecznem dzieci, poznanie ich środowiska, przyzwyczajanie do opanowywania popędów i wszczepianie poczucia odpowiedzialności za własne postępowanie są odpowiednimi środkami przeciwdziałania szkodliwym wpływom nieodpowiednich wpływów otoczenia pozadomowego.

Do czynników atmosfery życiowej młodocianego należy dalej lektura i kino.

Dobór odpowiedniej lektury staje się zagadnieniem niepokojącem każdego sumiennego wychowawcę młodzieży. Z jednej bowiem strony nie może jej zadowolić więcej lektura z lat dziecinnych, z drugiej zaciekawiają ją zagadnienia życiowe, poruszane w lekturze dla dorosłych często w sposób nieodpowiedni. Występujący, jak widzieliśmy, w tym okresie, głód wrażeń, powoduje skłonność ku takiej lekturze, która ten głód wrażeń zaspokaja, a więc lekturze sensacyjnej, kryminalistycznej i erotycznej. Oczywiście poddawanie równie „sensacyjnych“, ale pozytywnie nastawionych książek jest jedynem antidotum na truciznę, wsączaną przez „literaturę“ brukową w serca i umysły młodzieży. Opisy egzotycznych podróży i przygód, walk o ideały, przeżyć

wewnętrznych nadają się na takie odtrutki dla młodzieży. Szkoda, że jest ich tak niewiele. Lektura dla młodzieży czeka u nas na swą realizację.

I kino musimy wciągnąć w zakres rozważań wychowawczych. Staje się ono nietylko we wielkiem mieście, ale, a może tembardziej, na prowincji, czynnikiem silnie działającym na młodzież, przyczyniając się nierzadko do wytwarzania się w niej fałszywych ideałów życiowych i niezdrowego podniecenia, przedstawiając we wielu filmach świat zbytku, dancingu, kabaretu, „arystokracji" i t. p., mogący się stać przedmiotem niezdrowej tęsknoty młodzieży i rozgoryczając ją w ten sposób do jej własnej, codziennej rzeczywistości. Innym elementem, działającym ujemnie na ukształtowanie ideałów życiowych młodzieży, to kryminalistyka filmowa, wpływająca podobnie niezdrowo, jak lektura kryminalna. Wymarzonym bohaterem chłopca staje się włamywacz, szpieg, detektyw, imponujący mu siłą, sprytem, odwagą, używanemi niestety antyspołecznie. Film z natury rzeczy, działa nawet silniej, niż książka, wywiera bowiem głębsze wrażenie. Nie chodzi tu o dość dalekie niebezpieczeństwo, że młodociany pójdzie w ślady swego bohatera-zbrodniarza z filmu lub lektury, lecz raczej o to, że poruszona i rozruszona zostaje w nim strona emocjonalna w swych najpierwotniejszych przejawach, że drzemiące instynkty mają wskutek tego dążność do występowania w pierwotnej brutalnej formie, co czywiście wymaga jeszcze większego napięcia energji młodocianego, by się im oprzeć i je stłumić. A nie zawsze to się udaje i rozbudzony instynkt szuka sobie w jakiś sposób wyładowania (awanturnicze ucieczki z domu, tworzenie band i klubów, kradzieże, napady i t. p.). Także erotyzm niektórych filmów, polegający bądźto na drastycznych sytuacjach seksualnych, bądźto na fałszywem przedstawianiu stosunku między osobnikami obu płci, jest oczywiście motywem wielce niepożądanym dla rozwoju młodocianego [3]).

Jeśli do tych wpływów atmosfery życiowej dodamy jeszcze przemożny wpływ ulicy z jej pokusami za dnia i w nocy, wpływ haseł i partyj politycznych na młodzież, wpływ stosunków ekonomicznych i zawodowych i t. d., to jasnem się staje, jak ograniczoną jest możliwość wpływania na atmosferę życiową, temsamem więc na kształtowanie się charakteru młodzieży. Tem ważniejszem oczywiście staje się objęcie wpływem wychowawczym tych dziedzin, które objąć można, przyczem jak najdobitniej należy podkreślić koniecz-

---

[3]) Por. moją rozprawkę „Znaczenie środowiska w wychowaniu" w „Ruchu Pedagogicznym" 1928. — z ostatnich wydawnictw niemieckich: „Handbuch der pädagogischen Milieukunde" wyd. A. Busemann, Halle a/S. 1932.

ność kształcenia woli, która w okresie przełomowym tężeje, tworząc kościec dla całego charakteru przyszłej dojrzałej osobowości.

Ważność kształcenia woli występuje szczególnie przy zagadnieniu wychowania płciowego, stanowiącem zwykle najdrażliwszy punkt w całej dziedzinie wychowania młodzieży.

Trzeba tutaj podkreślić, że nie jest to zagadnienie specjalnie wieku przełomowego; wychowanie płciowe bowiem rozpoczyna się wraz z całem wychowaniem człowieka o wiele wcześniej: od samego dzieciństwa. Trzeba też podkreślić, że nie polega ono przedewszystkiem, jak to sądzą zwykle rodzice, na samem uświadomieniu płciowem, czyli podaniu dziecku wiadomości o ustroju i funkcjach płciowych człowieka. Bynajmniej. Uświadomienie płciowe jest tylko drobną, choć ważną częścią całego wychowania płciowego i powinno nastąpić już przed nadejściem wieku przełomowego; istotą zaś wychowania płciowego w tym okresie jest kształcenie woli i charakteru młodocianego celem uzyskania pożądanego czystego i szlachetnego nastawienia całego jego sposobu myślenia i postępowania wobec sfery zagadnień płciowych, która we wieku przełomowym po raz pierwszy staje przed nim w całej swojej grozie i całej barwności, wabiąc go i odpychając zarazem i wprowadzając w szalony niepokój całą jego istotę.

Nie tu jest miejsce na omawianie tego palącego problemu wychowawczego, poprzestaniemy więc na kilku tylko uwagach odnośnie do samego wieku przełomowego [4]).

Przedewszystkiem stwierdźmy, że ustosunkowanie się dorosłych do całego zagadnienia jest naogół z gruntu fałszywe. Przypomina ono przysłowiową politykę strusią: kwestji tej nie tyka się. Czy temsamem nie istnieje? Polityka taka osiąga skutek zupełnie nie oczekiwany i niepożądany: młodociany szuka uświadomienia o dręczących go wątpliwościach

---

[4]) Kwestja samego uświadomienia płciowego, czyli zaspokojenia ciekawości płciowej nie należy specjalnie do wieku przełomowego. Stoimy na stanowisku, że uświadomienie biologiczne i po części higjeniczne powinno być przeprowadzone stopniowo od samego dzieciństwa i ukończone w zarysie przed początkiem okresu dojrzewania. Na takiej podstawie nietrudnem już będzie uzupełnianie wiadomości biologicznych i higjenicznych w razie potrzeby oraz uświadomienie etyczne, mające na celu odpowiednie ustosunkowanie młodego człowieka wobec etyki płciowej. Te kwestje szerzej omówiliśmy w rozprawie, poświęconej wychowaniu płciowemu, p. t. „Zagadnienia płciowe w wychowaniu młodzieży“, „Przegl. Społeczny“ 1929.

u mętnych zwykle źródeł, a wobec dorosłych występuje brak ufności i stopniowe oddalanie się. To jedno zagadnienie stać się może owym kamieniem, o który potknie się nieraz najbardziej, zdawałoby się, serdeczny i szczery stosunek rodziców i wychowawców do dziecka.

Zasadniczym celem wychowania płciowego w tym wieku jest umożliwienie normalnego rozwoju płciowego do pełnej dojrzałości płciowej, osiąganej dopiero z końcem okresu młodzieńczego, około lat 20—25. Wedle zdania najpoważniejszych uczonych w dziedzinie seksuologji należy dążyć do utrzymania czystości płciowej u młodzieży obojga płci aż do końca tego okresu, jest ona bowiem pożądaną i korzystną tak ze względów higjeny ciała, jak i ducha.

Zasadniczym warunkiem oddziaływania wychowawczego w tym kierunku jest z jednej strony żywy przykład dorosłego jako wychowawcy, z drugiej stosunek pełnego zaufania do wychowanka.

Kształcenie woli jest najważniejszym środkiem wychowania płciowego. Wielki wychowawca Fr. W. Foerster powiada: Najważniejszem uświadomieniem seksualnem jest nie uświadomienie o funkcjach płciowych, lecz uświadomienie o niewyczerpanej mocy ducha, umiejącego trzymać na wodze popędy i zmuszać je do uległości. Nie rozkaz, nie zakaz, ale stopniowe przyzwyczajanie do panowania nad sobą. wyrabianie u dziecka sumienności, pilności i obowiązkowości, ćwiczenie w poprzestawaniu na małem i skromności, słowem stwarzanie moralnych hamulców wewnętrznych, któreby umiały sprawnie działać w razie potrzeby hamowania popędów — to etapy tej pracy nad kształtowaniem woli.“

Drugą drogą jest rozumna sublimacja popędów, t. j. skierowywanie ich energji na inne tory, ku pozytywnym i szlachetnym celom i pracom. Znany twórca psychoanalizy prof. Freud pisze: „Sublimacja pozwala spłynąć nadmiernemu podnieceniu, mającemu swe źródło w tej lub owej dziedzinie płciowości, do innych okolic, w których może być zużytkowane. W ten sposób dyspozycja, niebezpieczna sama przez się, przyczynia się do znacznego zwiększenia wydajności psychicznej.“ A inny teoretyk psychoanalizy, O. Pfister, stwierdza: „Zamiast stawiać zapory energji pożądań dziecięcych, sublimacja daje im możność dodatniego przejawienia się. Zamiast bezużytecznego celu, wyznacza różnym popędom cel wyższy.“

Stosowanie sublimacji objawi się w praktyce skierowywaniem ku zajęciom fizycznym i umysłowym. Młodociany nie powinien mieć wiele

czasu zbędnego. Niech on będzie wypełniony obowiązkową pracą, godziwą rozrywką, racjonalnym odpoczynkiem — a nie stanie go na nieodpowiednie dla młodocianego marnotrawienie go w towarzystwie niezawsze odpowiednio dobranych kolegów. Rzeczą wychowawcy będzie podsuwać młodocianemu możliwości godziwego wypełnienia czasu muzyką, dobrą książką, pracą ręczną, jakiemś zajęciem dla domu, dobrowolną pracą dla szkoły, sportem, wycieczką, zabawą towarzyską i t. p. Takie zajęcia będą znakomitym środkiem sublimacyjnym, czyli uwznioślającym popędy wieku przełomowego, skierowującym dążność do wyładowania energij cielesnych i umysłowych w odpowiednim kierunku. Środek ten okazuje się pożytecznym także i tam, gdzie dały się zauważyć już zboczenia młodocianego z drogi naturalnego, normalnego rozwoju, np. pod względem płciowym (onanja, przedwczesne obcowanie płciowe). W tym wieku zawsze jest czas na nawrócenie błądzącego na prawą drogę — nigdy jednak środkami autorytatywnemi, nigdy przemocą, gniewem, otwartym konfliktem. Wiele można naszej młodzieży zaoszczędzić, wiele uniknąć tragedyj rodzinnych, biorąc nieodpowiednie postępowanie młodocianych za szukanie drogi, a nie za występek, i stosując wobec nich zasadę pomocy, a nie zasadę kary.

Momentem wreszcie, którego w wychowaniu młodzieży w okresie dojrzewania nie należy zaniedbywać, jest racjonalnie przeprowadzana koedukacja. Współpraca młodzieży obu płci, swobodne towarzyskie obcowanie, wspólne przeżycia estetyczne (teatr, koncert, wystawa), wspólne zainteresowania i prace społeczne i t. p. osłabiają silnie popędy seksualne, nastawiając całą sferę płciową czysto i etycznie. I w wychowaniu domowem i szkolnem może koedukacja, otoczona subtelną opieką dorosłych, stać się pożytecznym środkiem wychowania [5]).

— — — — — — — — — — — —

Oto niektóre wskazania wychowawcze w odniesieniu do wieku przełomowego. Możnaby je zawrzeć w ogólnem przykazaniu: odnieśmy się do dziecka we wieku przełomowym, jako do dojrzewającego człowieka! Pamiętajmy, że młodociany chce być uważanym za coś pełnowartościowego, chce być branym serjo. Starając się zrozumieć dziecko w tej epoce i odnosząc się doń z wyrozumiałością, miłością i chęcią pomocy, ułatwiamy mu wydobycie się z bezpłodnych konfliktów wewnętrznych oraz znalezienie własnej drogi normalnego rozwoju i oszczędzamy mu sił na produktywną pracę nad sobą samym, a w dalszym ciągu na pracę dla dobra społeczeństwa i kultury.

---

[5]) Por. moją rozprawę „Idea koedukacji i jej realizacja“ w „Ruchu Pedagogicznym“ 1933. Nr. 1—4.

Oceny.

Dr. LEON GUTMAN.

Na marginesie nowszej literatury pedagogicznej.

I.

Wychowawcy, którzy popierali organizację pracy samorządowej w szkole od pierwszej chwili pojawienia się tej myśli na terenie szkolnym, zdawali sobie dobrze sprawę z możliwości, jakie ona w sobie kryje. Nie chodziło bowiem o to, aby wprowadzić nowy szablon dla starej treści, jeno o naświetlenie wszelkich poczynań wychowawczych pod kątem widzenia nowej orjentacji pedagogicznej, której zwolennicy systemu samorządowego nie zawsze ujmowali w całej, historycznej wprost rozciągłości, a przeciwnicy wogóle nie pojmowali. Tem się tłumaczy fakt, że dzisiejszy komunał pedagogiczny — a jest nim już samorząd w szkole — był do niedawna jeszcze kwestją nader sporną, o zwycięstwo której kruszyliśmy zacięcie kopie. Jest wszakże samorząd w szkole jednem z najważniejszych ogniw w łańcuchu niezliczonych wysiłków zmierzających do oswobodzenia jednostki duszącej się w atmosferze biernego wyczekiwania i biernego przyjmowania wiadomości i uwag, rehabilitacją godności młodego człowieka, twórcy przyszłości, z którym tak mało dotychczas się liczyliśmy, a od którego niejednej rzeczy i starsi mogli się dowiedzieć. Samorząd należycie rozbudowany, pod życzliwą opieką roztropnych i skromnych ludzi wychowawców, umiejących i pochylić czoło przed dzieckiem i młodym człowiekiem, wyrwie nas z czasem z orbity zaklętego koła, w którem się obracamy i pod egidą młodzieży, niezatrutej przesądami i hasłami przeszłości obcej nam i dalekiej — pójdziemy naprzód po długim, ach, jak długim postoju kulturalnym. I jakkolwiek w teorji znaliśmy te żądania rozwoju ludzkości — mówili o nich przywódcy duchowi nieraz (n. p. Mickiewicz w „Odzie do młodości") to mimo wszystko była ta młodzież pod więzienną wprost kuratelą myślową, miała słuchać i na pamięć kuć nasze wskazania ustne i pisemne, poświęcając na ołtarzu autorytetu swą inicjatywę, zmysł krytyczny i chęć współpracy. Przez lata całe przelewaliśmy z pustego w próżne, uczyliśmy młodzież podziwiać — przeszłość, tworząc przed nią z utartych i tanich pojęć antycznych zator, poza który w bezsile myśli w swem życiu już naogół nie wychodziła. Następstwem tej sytuacji było, iż

na takim gruncie nie mogła dojrzeć nowa wartość, w szkole panowała statyka. Powyższe założenia przenikają nader wartościowe dzieło Dra A. Ferriere'a p. t. „Samorząd uczniowski" (wyd. Książnica-Atlas Lwów-Warszawa (1933), jakoteż Józefa Mirskiego p .t. „Współdziałanie młodzieży w pracy wychowawczej szkoły" (Książnica-Atlas Lwów-Warszawa 1933), które po raz pierwszy udostępnia polskiemu czytelnikowi zapoznanie się z tym problemem w związku z odczuwaną coraz silniej dążnością i koniecznością poczynienia pewnych zasadniczych przesunięć na polu wychowania młodzieży a tem samem nadania nowego kierunku ideowego z biegiem czasu całej ludzkości. „Wśród podstawowych przyczyn ostatniej wojny i obecnego zastoju istnieje jedna, która, jakkolwiek niedość silnie dotąd podnoszona, zdaje się przecież posiadać największą ze wszystkich wagę. We wszystkich krajach Europy szkoła wysilała się na zaprawienie dzieci do biernego posłuszeństwa. Nie czyniła ona nic dla rozwoju ich zmysłu krytycznego, nie starała się rozwinąć u nich ducha wzajemnej pomocy. Łatwo można przewidzieć, dokąd prowadzić musiała narody taka stała i systematyczna tresura. Nie potrafiły one sprzeciwić się nieszczęściu sprowadzonemu na nie przez ich rządy lub ich dowódców wojennych, nie umiały oprzeć się stałemu podjudzaniu i wmawianiu ze strony prasy ani ująć w swe ręce środków solidarności i wzajemnej pomocy, które nieraz mogłyby je ochronić od nędzy i głodu." (str. 5) A cel, jaki nam przyświeca? Wykracza on daleko poza ramy dotychczasowych zadań szkoły: „...może — będzie nam dane zobaczyć prawdziwą elitę ujmującą w swe ręce ster rządu — może ujrzymy ludy, korzystające w większym nieco stopniu z tego pokoju i sprawiedliwości, których z takiem upragnieniem dziś wyglądają. Pokój bowiem i sprawiedliwość, to słowa, których używa się dla oznaczenia zasadniczego trzonu życia duchowego człowieka, jego dążenia do harmonji, do stałego uregulowania ekonomicznej strony życia społecznego, do wyzwolenia wyższych czynności ducha, do wzmożenia wreszcie siły życia duchowego." (str. 14) Dzięki systemowi samorządowemu uwidaczniają się już w pierwszych fazach pracy następujące jego zalety:

1) Charaktery uczniów odsłaniają się wobec nauczyciela.

2) Odciążenie nauczyciela, który zdołał oprzeć samorząd na stałej podstawie.

3) Ustrój samorządowy rozwija w uczniach panowanie nad sobą.

4) Uczniowie poznają na podstawie doświadczenia wartość podziału pracy.

5) Uczniowie uczą się patrzeć na rzeczy zbliska.

6) Samorząd odkrywa naturalnych przywódców, samorodnych kierowników.

7) Budzi poczucie odpowiedzialności, inicjatywę indywidualną, poszanowanie pracy, czyli zmysł społeczny.

Oba dzieła posiadają wartość o zasadniczem znaczeniu dla współczesnego nauczyciela-wychowawcy.

II.

W „Przeglądzie Społecznym“ II ex 1932 (luty) omówił autor niniejszej recenzji dzieło dra Jana Piageta p. t. „Mowa i myślenie dziecka“ (Książnica-Atlas Lwów 1932). Stanowiło ono w zasadzie pierwszą część zakrojonej na szeroką skalę psychologji dziecka, której druga część p. t. „Jak sobie dziecko świat przedstawia“ obecnie się ukazała (Książnica-Atlas 1933). Podczas gdy poprzednio zajmował się autor formalną stroną myślenia dziecięcego i na podstawie szeregu obserwacyj starał się o wyjawienie praw rządzących wewnętrznym światem dziecka, to ostatnie rozważa następujące zagadnienie: w jaki sposób dziecko odróżnia rzeczywistość od tworów umysłu. Autor stosuje i nadal stworzoną przez siebie metodę kliniczną, której wartość potwierdziły już wyniki poprzednich badań. Metodę tę omawia raz jeszcze obszerniej na początku odnośnego dzieła („Idąc za każdą odpowiedzią dziecka, a potem idąc ciągle za wślad za niem, pobudzając je do coraz bardziej swobodnego wypowiadania się, otrzymuje się wreszcie w każdej z dziedzin inteligencji kliniczny sposób badania, podobny do tego, jaki psychjatrzy przyjęli jako sposób rozpoznawania“). Z licznych problemów, składających się na całokształt myśli dziecięcej, zasługuje na uwagę „pojęcie myśli“, jako zasada wszelkich innych koncepcyj dziecka. Tu należy rozróżnić trzy symptomatyczne stadja, z których pierwsze jest łatwe do odróżnienia od dwóch następnych i zdaje się zawierać pewien pierwiastek samorodny. W tem stadjum sądzą dzieci, że myśli się „ustami“. Myśl jest materjalną, głosem, tchnieniem i t. d., niema w niej nic subjektywnego. W drugiem stadjum zaznacza się wpływ dorosłych: myśli się głową, przyczem jednak niektóre właściwości pierwszej fazy jeszcze się ostają (substancjalizm myśli). Trzecie stadjum (11—12 lat) charakteryzuje już dematerjalizacja myśli. Rozpoczyna się ono w chwili, gdy dziecko odróżnia myśl od rzeczy. Podobnie ma się rzecz n. p. ze snami: sen pochodzi z zewnątrz i jest czemś zewnętrznem, sen pochodzi z nas, ale — jest poza nami, sen jest czemś wewnętrznem i wewnętrznego pochodzenia. Wynika z tych i innych dociekań, że dziecko jest realistą, bo wychodzi z założenia, że myśl jest związana ze swym przedmiotem, że nazwy są związane z rzeczami

nazywanemi i że sny są czemś zewnętrznem. Wobec tego granica między własnem ja a światem zewnętrznym jest u dziecka bardziej płynną, aniżeli u dorosłych. Te same prawa dziecięcej logiki wychodzą na jaw przy analizie pojęć, jak świadomość i życie: 1) życie jest utożsamiane z czynnością wogóle („Rower, jak nie jedzie, nie jest żywy, jak jedzie, jest żywy"), 2) życie jest utożsamiane z ruchem („kamyk jest żywy, bo się toczy"), 3) życie jest utożsamiane z ruchem własnym przedmiotu, następnie ograniczane do zwierząt i roślin. („wiatr jest żywy, bo sam się rusza"). Syntetyczne zdanie o strukturze psychicznej dziecka na podstawie oryginalnych badań Piageta zdołamy sobie urobić dopiero po ukazaniu się dalszych części dzieła (Przyczynowość fizyczna u dziecka i Sąd moralny u dziecka).

III.

W tłumaczeniu polskiem, nakładem „Roju" Warszawa ukazało się nowsze dzieło Bertranda Russela p. t. „Wychowanie a ustrój społeczny". Stanowi ono gwałtowny protest przeciw panującej w wielu dziedzinach życia współczesnego obłudzie. Analizując szereg tradycyjnych pojęć ustala autor, że przetrwały one dzięki sile bezwładności mimo zaniku i przekwitu tych sił wewnętrznych, które je ongiś zrodziły. Miast patrzeć niewolniczo w przeszłość i wbrew pulsowi życia starać się ją naśladować, słuszną jest rzeczą napełnić je nową treścią zgodnie z dzisiejszemi dewizami etycznemi i kulturalnemi, których domeną jest dotychczas — szara i bezbarwna teorja. Poszczególne rozdziały, jak szkoła i dom, wychowanie a dziedziczność, zagadnienie seksualne i t. d. — rozprawiają się z tym balastem przeszłych wieków, stanowiącym zator w postępie naprzód. W zasieku kolczastym przeżytków, będących i wynikiem i założeniem bezmyślności — wychowanie miast iść na czele i nieść oświaty kaganiec — biegnie wolno za duchem czasu, niczem spóźniony pasażer, hamując często na długie lata ten postęp, którego rzecznikiem dumnie się zwie. W rozmaitych przejawach naszego życia widzi działanie niezdrowego nacjonalizmu, który z antyczną wprost zajadłością restytuuje egoizm, po trupach dążący do celu. Zbytnia adoracja kultury grecko-rzymskiej, nauczanie języka łacińskiego i literatury o wojennym charakterze, jakoteż nauka historji pojętej jako sumy intryg i interesów dynastycznych, jako fałszywej polityki i urobionej przez płatnych historyków — „prawdy", wybiła swe piętno zgubne na charakterze wychowanków. (Zobacz art. autora w Przegl. Społ. ex 1930, XII. p. t. „O nową orjentację wychowawczą" gdzie ta kwestja szerzej omówiona). „Uczeń powinien pozostawać z ranny-

mi na polu bitwy, odczuwać los bezdomnych wygnańców ze zniszczonych wojną okolic i wiedzieć o wszystkich okrucieństwach i niesprawiedliwościach, jakie rodzi wojna. Dzisiaj całe prawie wychowanie gloryfikuje wojnę. Wobec takiego wpływu szkół próżne są wysiłki pacyfistów." Wychowanie dzisiejsze zmierza do wytworzenia dysharmonji między narodami, która znikłaby, gdyby w szkołach prowadzono propagandę internacjonalizmu Świat nasz jest obłąkanym światem. Poczynając od roku 1914 przestał iść naprzód, ponieważ ludzie nie chcą słuchać głosu rozumu, który domaga się współpracy międzynarodowej i utrzymują nadal sztucznie podział ludzkości na wrogie obozy. Mimo, że wiemy dobrze o okropnościach następnej wojny, kultywujemy dalej (na całym świecie!) w młodzieży uczucia, które uczynią ją nieuniknioną."

Uwagi autora na czasie — zarówno w przytoczonej sprawie, jak i wielu innych zasługują na uważne przeczytanie i przemyślenie. Bo gdy ludzkość po równi pochyłej wdół się stacza — jest rzeczą słuszną pojąć, dlaczego.

Dr. E. G.—B.

Postępowanie młodzieży i jego ocena.

Wzmagające się w sferach wychowawców zainteresowanie, a nawet już znajomość badań nowoczesnej psychologji pedagogicznej jest zjawiskiem niewątpliwie cennem. Teoretyczna wiedza w tym zakresie, choćby pogłębiona własnemi obserwacjami nie jest jednak jeszcze życiowo pożyteczna, póki wychowawca nie wie dobrze jak ją zużytkować, jakie z niej wysnuć praktyczne wnioski w ocenie i kierowaniu wychowankiem. Od udzielania takich wskazań wstrzymują się psychologowie, zresztą zupełnie słusznie; ich zadaniem jest dziecko czy młodzieńca poznać i zrozumieć, a nie ocenić, czego dokonać można dopiero z pedagogicznego, moralnego lub społecznego punktu widzenia. Istniejącą w tym względzie lukę w literaturze polskiej stara się wypełnić rozprawa dra Mieczysława Ziemnowicza p. t. „Motywacja postępowania i jego ocena w życiu szkolnem". W rozprawie tej bowiem autor, znany z szeregu publikacyj pedagogicznych, z których najważniejszą jest książka p. t. „Problemy wychowania współczesnego", naświetla z psychologicznego punktu widzenia nietylko źródła motywacji postępowania człowieka, lecz również problem poprawnej lub niewłaściwej oceny postępowania wychowanków przez wychowawcę.

Wywody autora opierają się na materjale empirycznym, dostarczonym zarówno przez wychowawców, jak przez wychowanków.

Rozprawa składa się z trzech części. W pierwszej stara się autor uzasadnić konieczność rewizji stosunku wychowawcy do wychowanka. Dotychczasowa organizacja wychowania polegała na zasadzie bezwzględnego autorytetu starszych. Toteż jedynem kryterjum przy ocenie postępowania młodzieży była zgodność z ideałem wytworzonym przez dorosłych, a nie dostosowanym zupełnie do natury dziecka. Zakazy, jako jedyna forma przestrzegania dziecka przed wykroczeniem, wywoływały nieufność dziecka do własnych sił, dotkliwie dawał się odczuć brak wyrozumiałości dla słabostek moralnych przy naturalnem liczeniu się słabością fizyczną dziecka. Reforma tradycyjnego wychowania, która zaznaczyła się dotąd w zmianie organizacji wychowania, a więc programów szkolnych, metod nauczania i t. p., objąć musi również metody oceniania czynów dziecka, musi doprowadzić do uświadomienia sobie, jakiemi motywami kieruje się dziecko postępując w danym wypadku w ten a nie inny sposób.

Zbadaniu źródeł motywacji postępowania człowieka poświęcone są wywody drugiej części rozprawy. Przemożny, a niedoceniany zazwyczaj wpływ na działanie mają stany fizjologiczne organizmu. Głód, zmęczenie, ból są niezmiernie często bezpośredniemi motorami postępowania człowieka. Powodem złego usposobienia, humoru, a co zatem idzie, odpowiedniego postępowania są nieraz zaburzenia w procesie trawienia, krążenia krwi lub wydzielania wewnętrznego.

Rozległą dziedzinę zachowania się człowieka tłumaczą wrodzone dążności, zwane instynktami. Dziecko psuje nową zabawkę powodowane dążnością do manipulacji, niemowlę stawia opór przy prostowaniu jego członków, gdyż skrępowana jest wtedy wrodzona mu dążność do swobody. Człowiek dorosły nie dopuszcza do uzewnętrznienia się wszelkich jego instynktów. Potrzeby społeczne zmuszają go do ograniczenia ich i poddania kontroli społeczeństwa.

Po krótkim przeglądzie teoryj, tłumaczących genezę emocyj następują ciekawe wywody na temat motywów społecznych w postępowaniu człowieka. Wpływ ich jest tak silny, iż zdolne są one nawet ograniczyć w działaniu motywy biologiczne. I tak n. p. harmonja barw uznana w sztuce klasycznej, wypływa z fizjologicznej budowy oka i z rozmieszczenia kończyn nerwów wrażliwych na barwy kontrastowe. Moda, a zatem motyw społeczny, spowodowała, że po pewnym czasie uznaje się inne zestawienia barw za harmonijne. Moda smukłej linji potrafi nawet przezwyciężyć tak naturalną potrzebę biologiczną, jaką jest normalne odżywianie się.

Jednym z najważniejszych motywów społecznych jest motyw

znaczenia, dążenie do wybicia się z szarego tłumu, do „pokazania się“. Motyw ten przybiera różne formy, niezawsze pożądane przez wychowawcę. Najczęstszą taką formą jest racjonalizacja. Polega ona na tem, że człowiek usprawiedliwia siebie samego w wypadkach, gdy nie uzyskuje oczekiwanego sukcesu w dążeniu do znaczenia. Ratuje ona wiarę w własne siły przez dopatrywanie się winy w zewnętrznych okolicznościach, innych osobach, w jakiejś vis maior. Przed poczuciem klęski osobistej uciekamy niekiedy przez pozornie dobrowolną rezygnację z nieosiągalnych korzyści, wmawiając sobie i innym, że nam na nich nie zależało.

Niemożność zaspokojenia pragnień potęgi i znaczenia prowadzi często do snów na jawie. W nich bowiem bez przeszkód zdobywamy władzę, mścimy się nad wrogami i wynagradzamy sobie doznane w życiu przykrości. To życie w marzeniach zmniejsza jednak naszą odporność na trudności i zmusza coraz do ponownej ucieczki w krainę marzeń. Zahamowanie dążności do mocy życiowej prowadzi często do kompensacyjnego zdobywania zagrożonego lub utraconego prestiżu. I tak n. p. uczeń wynagradza sobie nieraz udzieloną mu przez nauczyciela naganę, poniżającą go w jego mniemaniu w oczach kolegów, zachowując się wobec niego zuchwale lub wyszydzając go poza jego oczyma.

Gdy dążenie do znaczenia i mocy nie zostaje zrealizowane, powstaje poczucie niższości. Poczucie to prowadzi bądź do wzmożonych wysiłków ukrycia tej niższości przed światem (tchórzliwe natury zasłaniają się często maską despotyzmu i okrucieństwa), bądź do przyznania się do niemocy dla wzbudzenia współczucia i litości (n. p. natury żebracze), a w końcu może ono wywołać taką energję i zaciętość wysiłku, że braki zostaną wyrównane z nadwyżką (przykładem jest sławny, jednoręki wirtuoz-pianista hr. Geza Zichy, który jeszcze jako młody chłopiec utracił na polowaniu prawą rękę).

Omówione rodzaje motywów postępowania, należące do dziedziny biologicznej i społecznej zazębiają się o siebie. Niezawsze jednak współpracują one zgodnie, nieraz dochodzi do konfliktu, który jest szkodliwy zarówno dla jednostki, jak dla społeczeństwa. Rzeczą wychowawcy jest zbadanie podłoża tych konfliktów i łagodzenie ich.

Dla silniejszego uwydatnienia potrzeby rewizji stosunku wychowawcy do wychowanka cytuje autor szereg przykładów, ilustrujących ocenę postępowania w praktyce szkolnej. Opiera się przytem na ankiecie, przeprowadzonej wśród uczniów na temat kary oraz na protokołach z konferencyj i sprawozdaniach o wypadkach samobójstw uczniów. Analizując cytowane wypowiedzi, omawia autor wrażenie, jakie wywiera na wychowanku osąd wy-

chowawcy w postaci kary. Kara niesprawiedliwa wywołuje upór, uczucie nienawiści i poniżenia. W wynurzeniach wychowanków przebija się silnie moment prestiżowy, pokrzywdzenie w samopoczuciu, w dążeniu do znaczenia w społeczeństwie. Niekiedy wyraża się nawet antyspołeczne nastawienie wskutek nieuszanowania godności ludzkiej przez bezmyślnego wychowawcę.

W dalszym ciągu omawia autor zjawisko błazna klasowego, którego zachowanie się można również zrozumieć na tle dążności do znaczenia, osiąganego zresztą w tych wypadkach na osobliwej drodze. W niektórych wypowiedziach objawiają nam się tragedje dzieci, cierpiących pod wpływem przesadnej ambicji rodziców. Ta niezaspokojona ambicja wyradza się niekiedy w niechęć do dziecka, wzajemne rozczarowanie powoduje całe pasmo niepowodzeń życiowych dziecka, myśli o śmierci, o ucieczce od tej niedoli.

Najwięcej może błędów wykazują oceny wychowawców, dotyczące postępowania w dziedzinie życia seksualnego. Zakazy i tworzenie barjer między płciami nie są — zdaniem autora — ani skuteczne, ani pożądane. Zadaniem wychowania jest sublimacja popędów płciowych, a więc nie ucieczka przed niemi, ale ich uduchowienie. Przytoczone przez autora protokoły wykazują, iż praktyka wychowawcza nie idzie jeszcze w tym kierunku.

Niewłaściwa ocena postępowania wychowanków przez rodziców i nauczycieli prowadzi do nieświadomej współpracy domu ze szkołą nad wywołaniem kompleksu niższości, przed którym jedyną ucieczką staje się samobójstwo.

Rozprawa przeznaczona głównie dla wychowawców całych grup młodzieży wskazuje, w oparciu o psychologję indywidualną Adlera, drogi do zrozumienia życia psychicznego poszczególnych wychowanków na tle tych grup. Ale również rodzice mogą dzięki jej wywodom wyjaśnić sobie niejedno, co uderza ich u własnych dzieci jako niezrozumiałe. Postępowanie bowiem dziecka i jego motywacja kształtują się często inaczej na tle społeczności szkolnej, niż w gronie rodziny i uznanie tego faktu umożliwia dopiero skuteczną współpracę rodziców z nauczycielami. Odmienne obrazy dziecka, jakie wytwarzają sobie rodzice i nauczyciele mają swe źródło w tem, iż w odmiennych warunkach je obserwują. Dopiero syntetyczne ujęcie psychiki dziecka na podstawie jego zachowania się wśród najbliższych i wśród społeczności, w gruncie rzeczy obcej, w szkole, umożliwia trafną jego ocenę i ułatwia kierowanie niem.

Pamiętajcie o sierotach i dzieciach opuszczonych!

Kronika.

TRZECI WALNY ZJAZD ZWIĄZKU TOWARZYSTW OPIEKI NAD ŻYD. SIEROTAMI R. P.

Trzeci Walny Zjazd Związku Tow. Opieki nad żyd. sierotami R. P. odbył się w Warszawie dnia 18. maja 1933 r. W zjeździe wzięli udział delegaci okręgowych central, a mianowicie: warszawskiej (Pp. Rachela Steinowa i J. Chejfec), białystockiej (Pp. H. Racki, J. Suchowlański i E. Domeracki), Komitetu Opieki nad sierotami przy żyd. gminie wyzn. w Wilnie (p. D. Gersonowa), Krajowego Komitetu „Jekopo" (p. M. Szalit), centrali poleskiej (Pp. Z. Zarecki i N. Holzman), centrali wołyńskiej (Pp. Sz. Berlinerowa, Eisenberg i L. Szpilberg), centrali lwowskiej (Pp. Dr. W. Wiesenberg i Dr. J. Kohn), krakowskiej (Pp. Dr. J. Landau i Dr. H. Leser), członkowie egzekutywy Związku Pp. M. Grodzieński, L. Neustadt i A. Goldin i wreszcie przewodniczący komisji rewizyjnej Związku p. B. Zabłudowski.

Usprawiedliwili nieobecność: Pp. Prof. Dr. M. Schorr i Dr. J. Steinberg (Kraków).

Zjazd otworzył w imieniu Prezydjum Egzekutywy p. Dr. W. Wiesenberg, stwierdził obecność wymaganego statutem kompletu i zaproponował przyjęcie następującego porządku dziennego: 1) Otwarcie Zjazdu, 2) wybór przewodniczącego dnia, 3) odczytanie i przyjęcie protokołu poprzedniego (drugiego) Zjazdu, 4) sprawozdanie egzekutywy i komisji rewizyjnej oraz uchwalenie budżetu na r. 1933/34, 5) udzielenie absolutorjum egzekutywie i radzie naczelnej Związku, 6) wybór rady naczelnej, egzekutywy i komisji rewizyjnej, 7) wolne wnioski. Porządek dzienny przyjęty został jednomyślnie.

Na wniosek p. Szalita przewodniczącym dnia wybrano przez aklamację p. Dra W. Wiesenberga. Z kolei odczytano i przyjęto bez zmian protokół ostatniego Walnego Zjazdu.

Do punktu 4. porządku dziennego zabrał głos generalny sekretarz Związku p. A. Goldin, który przedłożył sprawozdanie egzekutywy, z którego podajemy najważniejsze fakty i cyfry: Statystyczne wykazy za ostatnie 3 kwartały r. 1932 wykazują stały wzrost liczby dzieci, znajdujących się pod opieką naszej organizacji. Dzieje się to nawet wbrew woli poszczególnych zarządów lokalnych, które walcząc i tak z olbrzymimi deficytami, nie mogą nowych dzieci przyjmować. Jednakże nędza w ulicy żydowskiej jest silniejszą aniżeli wszelkie uchwały naszych Komitetów. W parze z tem zjawiskiem idzie jednakowoż niestety postępujący, bardzo znaczny ubytek dochodów. W porównaniu bowiem z rokiem 1930, zmniejszyły się: subwencje rządowe o 39.4%, subwencje samorządowe o 54.8%, zaś wpływy społeczne o 27%. Stosunkowo nieznaczny ubytek dochodów ze źródeł społecznych jest dowodem, że społeczeństwo wytęża wszystkie siły, aby niedać upaść instytucjom opieki nad dzieckiem. Cyfry te odnoszą się do stanu akcji z końcem r. 1932. Za ostatnie miesiące nie mamy

jeszcze szczegółowych sprawozdań ze wzsystkich okręgów, ten jednak materjał, którym dotąd dysponujemy, wskazuje na to, że sytuacja od tego czasu jeszcze się znacznie pogorszyła i to do tego stopnia, że bardzo wielu instytucjom grozi niebezpieczeństwo likwidacji. Tragiczną wprost jest sytuacja naszych instytucyj na obszarze Województwa Poleskiego. Pan Wojewoda Poleski stanął bowiem na stanowisku, że istnienie odrębnych żydowskich zakładów opieki nad dzieckiem jest zbędnem, a dzieci żydowskie powinny znaleźć pomieszczenie we wspólnych zakładach opiekuńczo-wychowawczych związku międzykomunalnego. Dzięki temu stanowisku p. Wojewody subwencje komunalne dla naszych instytucyj ograniczone zostały do minimum, a w bardzo wielu miastach ustały w zupełności. Interwencje lokalnych działaczy u p. Wojewody jak n emniej interwencje Związku w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych nie odniosły dotychczas pożądanego wyniku. W obliczu tej katastrofalnej sytuacji Związek wdrożył energiczną akcję propagandystyczno-zbiórkową, jednakże mimo niezaprzeczalny efekt moralny wpływy pieniężne z tej akcji są dotychczas znikome. Delegacja Związku omówiła też sytuację z p. Drem B. Kahnem, który jednak w obliczu dzisiejszej sytuacji nie mógł złożyć żadnych konkretnych przyrzeczeń na przyszłość. Następnie referent wspomina o przekazaniu Związkowi przez Bank dla spółdzielni domów w Brześciu, o konieczności zajęcia się dziećmi uchodźców z Niemiec oraz rozpoczętych pertraktacjach, mających na celu ułatwienie pewnej liczbie bezrobotnej naszej młodzieży emigracji do Palestyny. W końcu referent podaje, że Ministerstwo P .i H. wyasygnowało dla burs w okręgach lwowskim, krakowskim i wileńskim subwencje w łącznej kwocie 21.500 zł. W ostatnim czasie z inicjatywy centrali lwowskiej, w szczególności Dra M. Schaffa, delegacja Związku przedłożyła p. Ministrowi Opieki Społecznej obszerny memorjał z przedstawieniem rozwoju naszej akcji, jej obecnego stanu i potrzeb. Delegacja Związku przyjętą została życzliwie i otrzymała przyrzeczenie pozytywnego rozpatrzenia przedłożonych postulatów.

Z przedłożonego następnie sprawozdania kasowego dowiadujemy się, że w roku sprawozdawczym (1931/32) dochody Związku wynosiły 567.102.47 zł., zaś rozchody 526.760.56 zł. Następnie referent przedkłada preliminarz budżetowy Związku na rok 1933/34 przewidujący dochody w kwocie 518.000 Zł. oraz rozchody w tej samej wysokości.

Po sprawozdaniu z działalności odczytano protokół komisji rewizyjnej, stwierdzający, że kontrola ksiąg i alegatów została przez komisję przeprowadzona i że komisja znalazła wszystko w porządku.

Następnie p. Neustadt uzupełnia sprawozdanie, a w szczególności rozwija szerzej plan akcji, zmierzającej do ułatwienia emigracji do Palestyny pewnej liczbie naszej bzrobotnej młodzieży, byłych wychowanków naszych instytucyj. W dyskusji nad sprawozdaniem zabrali głos Pp. Eisenberg, Zarecki, Szalit, Gersonowa, Dr. Leser, Domeracki i Dr. Kohn. Między innemi kwestjami poruszoną też została w czasie dyskusji myśl przeprowadzenia oszczędności przez przemianę Przeglądu Społecznego i Unzer Kind w kwartalniki. W rezultacie uchwalono

rezolucję, wzywającą prezydjum Związku do ograniczenia kosztów wydawnictw z tem, że w razie przyłączenia Centralnej Organizacji Opieki nad dzieckiem do Związku ma być wydawane tylko jedno pismo w języku polskim i jedno w żydowskim i to jako kwartalniki, zaś Związek prócz tego ma wydawać biuletyn informacyjny. Odnośnie przedłożonych sprawozdań Walny Zjazd powziął na wniosek p. Domerackiego następujące uchwały:

1) Walny Zjazd przyjmuje do wiadomości sprawozdanie Rady Naczelnej, Egzekutywy oraz Komisji rewizyjnej i udziela Radzie Naczelnej i Egzekutywie absolutorjum.

2) Walny Zjazd zatwierdza przedłożony przez Radę Naczelną projekt budżetu na rok 1933/34 w wysokości 518.000 Zł. po stronie dochodów i wydatków i porucza prezesowi Zwązku wykonanie budżetu w tych granicach z tem, że w żadnym wypadku wydatki nie mogą przekroczyć dochodów.

Z kolei do punktu 6. porządku dziennego wybrano jednogłośnie na wniosek p. Domerackiego statutowe organa Związku w następującym składzie:

I. Rada Naczelna:

a) Członkowie: Pp. Sz. Szereszowski i R. Steinowa (centr. warszawska), R. Rabinowiczowa i J. Suchowlański (centr. białystocka), L. Kruk (Wilno), J. Walk i Sz. Lakerman (Jekopo-Wilno), E. Holcman i J. Gleser (centr. poleska), J. Bubes i J. Galperson (centr. wołyńska), Dr. M. Schaff i Dr. J. Kohn (centr. lwowska), Dr. Sz. Maschler i Dr. H. Leser (centr. krakowska).

b) zastępcy: D. Birsztejn i J. Chejfec (Warszawa), H. Racki i B. Abramowicz (Białystok), J. Wapner (Wilno), N. Mukaber i A. Gumener (Wilno-Jekopo), J. Holzman i Sz. Pomeraniec (Pińsk), J. Berliner i L .Szpilberg (Równe), Dr. K. Halpern i Dr. A. Schorr (Lwów), H. Schenk (Kraków).

II. Egzekutywa: R. Szereszowski — przewodn., Adw. M. Endelman i Prof. Dr. M. Schorr — zast .przewodn., A. Goldin — gen sekretarz, L. Neustadt, A. Lewinson, M. Grodzieński, E. Domeracki (Białystok), D. Gersonowa (Wilno), M. Szalit (Wilno), Z. B. Zarecki (Brześć n/B.), B. Eisenberg (Równe), Dr. W. Wiesenberg (Lwów), Dr. J. Landau (Kraków) i Dr. J. Steinberg (Kraków).

III. Komisja rewizyjna: B. Zabłudowski, A. Eisenberg. M. Kleczewski.

Do punktu 7. porządku dziennego (wolne wnioski) zabrał głos p. Goldin. Podaje on do wiadomości Zjazdu, że na żądanie Wydziału Opieki Społecznej przy Komisarjacie Rządu m. Warszawy odbyła się konferencja przedstawicieli Związku z delegatami „Centralnej organizacji opieki nad dzieckiem żyd.“, na której czele stoi Dr. M. Peker. Ministerstwo jest zdania, że obie te organizacje powinny skoordynować swą działalność wzgl. połączyć się. Po odczytaniu komunikatu, jaki w tej sprawie ogłosiła w prasie wyżej wspomniana centralna organizacja uchwalono upoważnić prezydjum Związku do przeprowadzenia potrzebnych pertraktacyj i ustalenia warunków przyłączenia tejże organizacji do Związku.

P. Gersonowa porusza katastrofalną sytuację zakładów, które często żywić muszą swe dzieci tylko suchym chlebem, gdy tymczasem podrzucanie dzieci

w zakładach zaczyna stawać się coraz częstszem zjawiskiem. Dr. Wiesenberg i Goldin wyjaśniają, że w memorjale złożonym Ministerstwu Op. Społ. szczegółowo przedstawiono sytuację zakładów i wogóle całej akcji.

P. Suchowlański proponuje utworzenie specjalnego funduszu, któryby umożliwił zakładom wypłatę zaległych poborów personelowi wychowawczemu, a to w tym celu, by potem personel ten móc wymienić na tańszy. Sprzeciwia się temu wnioskowi p. Domeracki powołując się na cyrkularz Min. Op. Społ.,który każe unikać oszczędności w formie angażowania tańszych sił o gorszych zato kwalifikacjach.

Natem porządek dzienny wyczerpano i przewodniczący zamyka Walny Zjazd.

Dnia 5. lipca br. zmarł wiceprzes egzekutywy Związku, adw. Maurycy Endelman. Natychmiast po otrzymaniu smutnej wiadomości zwołane zostało żałobne posiedzenie Egzekutywy Związku. Prezes Związku, b. sen. R. Szereszowski poświęcił bł. p. Zmarłemu gorące wspomnienie, podnosząc ofiarność Jego i bezprzykładne oddanie się pracy Związku. Bł. p. Mec. Endelman był niezwykle czułym na niedolę opuszczonego dziecka i dużo bardzo czasu i trudów, często ze szkodą dla Jego osobistych interesów, poświęcił pracy nad ulżeniem jego niedoli. W ostatnich dniach jeszcze, jakgdyby czując bliski Swój koniec, przyspieszył załatwienie kilku ważnych spraw Związku, które domagały się zakończenia. Następnie przemawiali jeszcze Pp. Pro. M. Schorr, A. Lewinson, R. Steinowa, L. Neustadt i A. Goldin. Wszyscy mowcy, oddając cześć pamięci Zmarłego podkreślili nadzwyczajne Jego zalety umysłu i serca, dzięki którym potrafił Sobie zaskarbić szacunek i miłość wszystkich swych współpracowników, którzy teraz boleją nad przedwczesną utratą tak cennego Towarzysza pracy. Posiedzenie powzięło też uchwałę uwiecznienia pamięci bł. p. Mec. Endelmana. Sposób wykonania tej uchwały zostanie omówiony na specjalnie zwołać się mającem posiedzeniu egzekutywy.

Z powodu śmierci wiceprezesa Związku bł. p. Mec. Endelmana, otrzymał Związek liczne depesze i listy kondolencyjne od wszystkich central, wielu lokalnych komitetów oraz od poszczególnych działaczy z najdalszych krańców Polski.

Nad otwartą mogiłą, w której zwłoki bł. p. Mec. Endelmana znaleźć miały wieczny odpoczynek wygłoszonych zostało wiele przemówień. M. i. prezes Związku, b. sen. Rafał Szereszowski przemówił w następujące słowa: Imieniem Związku Towarzystw Opieki nad żyd. sierotami „Centos" oraz imieniem okręgowych central opieki nad żyd. sierotami w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Równem, Pińsku, Białymstoku i Wilnie przypada mi smutny obowiązek pożegnania zwłok wiceprezesa Związku, bł. p. Mec. Endelmana. Do wieńca pięknych zalet i uczynków, którym przedmówcy uwieńczyli skronie Zmarłego dodać pragnę najpiękniejszy kwiat: pracę Jego dla dobra opuszczonego dziecka. W r. 1926 Zmarły został wybrany prezesem Centralnego Komitetu opieki nad

dzieckiem żydowskiem, działającego na obszarze b. Kongresówki. Dzięki Jego inicjatywie stworzono w Warszawie dwie bursy, a następnie zakupiono kolonję dla dziatwy żyd. imienia Horacego Hellera w Falenicy. W r. 1928 bł. p. adw. Endelman został wybrany wiceprezesem Związku Towarzystw Opieki nad żyd. sierotami, obejmującego swą działalnością całą Polskę. Na tym odpowiedzialnym posterunku Zmarły zdobył Sobie szczere sympatje wszystkich bez wyjątku działaczy i współpracowników Związku. Wniknął On we wszystkie szczegóły naszej rozległej i bardzo różnorodnej dziedziny pracy i poświęcał jej dużo czasu i trudu. Pracę społeczną bł. p. Mec. Endelmana cechowała niezwykła radość twórcza i głęboka troska o los i przyszłość dziecka żydowskiego. Zmarły był jednym z najgorętszych i najwierniejszych przyjaciół dziecka żydowskiego i służył mu całem sercem, nie zaniedbując do ostatnich chwil życia tej pracy, której oddany był z miłością i poświęceniem. Żegnam Go imieniem działaczy i przyjaciół dziecka żydowskiego, imieniem najbliższych Jego współpracowników, którzy stracili z Jego śmiercią serdecznego przyjaciela, człowieka czystego jak kryształ, szlachetnego przyjaciela ludzkości.

Wiadomości z central sierocych.

Z Centrali Lwowskiej.

Pierwsze miesiące nowego roku budżetowego zeszły na intenzywnej walce o utrzymanie dotychczasowego stanu posiadania o ile idzie o subwencje związków komunalnych, wzgl. o przeszkodzenie planowanym nowym redukcjom. Wprawdzie wobec faktu, że gminy w regule nie realizują powziętych w tym kierunku uchwał budżetowych, że cały szereg gmin nie wypłacił w ubiegłym roku wogóle nic lub też tylko 10—20%, a w najlepszym razie do 65% uchwalonych sum, cała ta walka posiada raczej znaczenie tylko teoretyczne, to jednak nie możemy w sprawie tej ograniczyć się całkowicie do biernej roli. Idzie bowiem z jednej strony o utrzymanie zasady subwencjonowania naszych instytucyj przez związki komunalne, a zatem o niewyrzeczenie się praw z ustawy o opiece społecznej wynikających, z drugiej zaś strony gwałtowny spadek dochodów ze źródeł społecznych zmusza nas do zaostrzonej walki o subwencje komunalne, które stały się jedną z najważniejszych podstaw budżetu naszej akcji. Szczególnie ostrą formę przybrała walka ta w samym Lwowie, gdzie szło o bądźcobądź poważniejsze kwoty i gdzie centrala — będąc na miejscu — mogła każdej chwili ingerować. Pierwszy etap tej walki skończył się nawet zwycięstwem naszej sprawy, gdyż plenum rady miejskiej odrzuciło proponowane w projekcie budżetu redukcje, przywracając nasze subwencje do wysokości z ubiegłego roku. Gdy jednak następnie Wydział Wojewódzki nie zatwierdził budżetu, żądając jego obniżenia, skorzystano z tego i znów zredukowano subwencje naszych instytucyj. Komitet Centralny wysłał w tej sprawie

obszerny telegram do p. Ministra Opieki Społecznej oraz wniósł cbszernie umotywowane zażalenie do Urzędu Wojewódzkiego. Mamy wprawdzie wiadomości, że w zasadzie zażalenia nasze zostały przychylnie potraktowane i że w tej sprawie odbywa się między kompetentnemi władzami wymiana zdań, jednak tymczasem upłynęło już 5 miesięcy z nowego roku budżetowego a dotychczas żaden z naszych zakładów nie otrzymał ani grosza na poczet subwencji na bieżący rok budżetowy. Wytworzyła się wskutek tego taka sytuacja, że zakłady lwowskie są właściwie nieczynne, bo przebywa w nich zaledwie po kilkoro dzieci, które nie mogły być nigdzie wysłane na ferje i że wracające z początkiem roku szkolnego dzieci znajdą podwoje zakładów zamknięte. W połowie lipca przedstawiliśmy Magistratowi tę sytuację, prosząc o wypłacenie zaliczek, jednak niestety bezskutecznie. Centrala, wyczerpawszy już wszelkie swe możliwości, nie może również pomóc zakładom nawet przez udzielenie drobnych choćby pożyczek tak, że istnieje uzasadniona obawa, że zanim Magistrat zdecyduje się na wypłatę zaliczek, większość przynajmniej zakładów będzie już całkowicie unieruchomiona. W chwili obecnej bowiem instytucje nasze, będąc nadmiernie zadłużone, nie mogą nawet liczyć na drobne kredyty na pokrycie najpilniejszych potrzeb dnia.

Z tegorocznej akcji kolonijnej nie mamy jeszcze szczegółowych sprawozdań, można jednak już dziś stwierdzić, że rozmiarami swemi nie pozostała ona w tyle za zeszłoroczną kampanją ani co do liczby kolonij i półkolonij, ani też co do liczby uczestniczących w nich dzieci. Wziąwszy pod uwagę fakt, że kolonje w tym roku miały do przezwyciężenia znacznie większe trudności finansowe, niż w ubiegłym roku, gdyż nietylko subwencja Związku zmniejszyła się o połowę, ale także subwencje rządowe i samorządowe znacznej uległy redukcji, możemy ten sukces przypisać jedynie wzrastającej wciąż popularności akcji kolonji letnich tak wśród samego społeczeństwa jak i w miarodajnych sferach oficjalnych. W tym roku w miejsce kolonji w Diłoku czynną była poraz pierwszy nasza nowa kolonja centralna w Pasiecznej. Okazały gmach tej kolonji, pominąwszy łatwo zrozumiałe drobne usterki we funkcjonowaniu instalacyj, okazał się tak ze względu na swe położenie jak wewnętrzny rozkład pomieszczeń i urządzenie wprost nadzwyczajnie celowym. Rozkład pomieszczeń pozwolił nam też na urządzenie wspólnych sezonów dla młodszych dzieci i starszej młodzieży i w ten sposób zaoszczędziliśmy sobie specjalne sezony dla starszej młodzieży, których ze względu na brak środków i tak nie bylibyśmy w możności urządzić. W kolonji w Pasiecznej było w pierwszym sezonie 84 dziewcząt, zaś w drugim 74 chłopców. Pozatem czynne też były kolonje zeszłoroczne, o których obszerniej zdamy sprawę w następnej korespondencji.



PRENUMERATA 3 ZŁ. KWARTALNIE

ZGŁOSZENIA PRENUM. PRZYJMUJĄ:

LWÓW	Administracja „Przeglądu Społecznego" ul. Brajerowska Boczna 4. Tel. 36-06.
— „ —	Centr. Komitet Opieki nad sierotami żyd., ul. Brajerowska Boczna 4. Tel. 36-06.
WARSZAWA	Związek Tow. Opieki nad sierotami żyd., ul. Przechodnia 5/9. Tel. 737-50 i 769-04.
— „ —	Centralne Stowarzyszenie Opieki nad dziećmi i sierotami żyd., ul. Zamenhofa 5. Tel. 12-07-42.
BIAŁYSTOK	Tow. Białostockie Opieki nad sierotami żyd., ul. Kupiecka 6. Tel. 5-11.
WILNO	Komitet Pomocy dla Sierót, ul. Orzeszkowej 7. Tel. 6-88.
— „ —	Kraj. Komitet Żyd. Pomocy Ofiarom wojny ul. W. Pohulanka 5. Tel. 6-26.
PIŃSK	Centralny Komitet Opieki nad sierotami ul. Karlińska 22. Tel. 86.
RÓWNE	Zarząd Gł. Tow. Opieki nad sierotami żyd., ul. Litewska 23. Tel. 2-11.
KRAKÓW	Zach. Małopolski Związek Tow. Opieki nad sierotami żyd., ul. Zielona 3. Tel. 23-41.
STANISŁAWÓW	Okręgowa Żyd. Rada Sieroca, pl. Mickiewicza 6. Tel. 84.

Z DRUKARNI I LITOGRAFJI IGN. JAEGERA LWÓW, UL. SYKSTUSKA 33